



Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXI Nr 6(238) Zelów, czerwiec 2016

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Agnieszki Hećko, Juraty Bogny Serafińskiej, Anny Sobczak, Anny Sołbut

Andrzej Dębkowski – *Limanowskie reminiscencje*

Leszek Żuliński – *Tezaurusz mądrości*

Józef Baran – *Spadając, patrząc w gwiazdy*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Na ścieżkach miłości*

Stefan Jurkowski – *Bajka i rzeczywistość*

Andrzej Bartłyński – *I to tyle*

Joanna Friedrich – *Biała dama*

Marek Jastrząb – *Po-ranne noce*

Kazimierz Ivosse – *Maska pośmiertna Jerzego Giedroycia oraz Zapylanie czasu*

Dariusz Pawlicki – *Przeciw literatom. O literaturze alternatywnej i pisarskiej uczciwości*

Janusz Orlikowski – *Podglądanie własnego świata w czasie*

Henryk P. Kosk – *Z pamiętnika żołnierza Podlasiaka (2)*

Andrzej Gnarowski – *Poeta kultury*

Emil Biela – *Ciągle żywa tragedia tradycyjnej oraz Osobista tragedia wybitnego poety*

Beata Anna Symoń – *Cztery pory Bukowej Góry*

Paweł Kuszczynski – *Nowe dokonania literackie Zygmunta Dekierda*

Wydarzenia

Informacje

Imprezy, Zapowiedzi

Opinie, Noty, Poglądy

Konkursy, Kronika, Witryna



Z cyklu: „Pejzaże polskie”

Foto: Andrzej Dębkowski

Kronika

Jubileusz Stanisława Grabowskiego

17 maja br. ukończył 70 lat **Stanisław Grabowski**, poeta, prozaik, krytyk literacki, reżyser-dokumentalista, scenarzysta, wydawca, uczestnik festiwalu i laureat kilkudziesięciu konkursów literackich, członek licznych jury, współpracownik rozmaitych pism, autor kilkudziesięciu książek z różnych dziedzin, w tym monografii o ks. Janie Twardowskim i Tadeuszu Nowaku oraz książek dla dzieci. Ma już za sobą 54 lata pracy twórczej (debiut poetycki w „Tygodniku Morskim” w 1962 roku), a w podręcznikach szkolnych dla klas I-VI jest obecny od lat 36. Od zawsze działa społecznie. Obecnie jest też sekretarzem Kapituły Nagrody Literackiej im. ks. Jana Twardowskiego.

Konkursy

IV Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Juliana Tuwima

Gminne Centrum Kultury w Inowłodzu ogłasza IV edycję Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Juliana Tuwima.

Konkurs jest otwarty; dostępny dla wszystkich twórców: zrzeszonych i niezrzeszonych w stowarzyszeniach twórczych.

Utwory muszą być oryginalne, napisane przez uczestników konkursu, nigdzie wcześniej niepublikowane (w wydawnictwach zwartych, prasie i Internecie) i nienagradzane wcześniej w innych konkursach.

Prace podpisane godłem (słownym, a nie znakiem graficznym) należy przesyłać w trzech egzemplarzach, w postaci wydruku komputerowego lub maszynopisu, format A-4. Dodatkowo mile widziany nośnik elektroniczny. Do pracy powinna być załączona zamknięta koperta, opatrzona również tym samym godłem, zawierająca dane osobowe: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu kontaktowego i adres mailowy.

Nadsyłane prace nie mogą przekraczać 5 wierszy w zestawie. Można przysłać tylko jeden zestaw. Prace należy nadsyłać lub składać osobiście w nieprzekraczalnym terminie do 25 czerwca 2016 roku (liczy się data stempla pocztowego) na adres: Gminne Centrum Kultury ul. Zamkowa 7, 97-215 Inowódz, z dopiskiem na kopercie „IV Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Juliana Tuwima”.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w lipcu 2016 roku. O terminie uroczystości wręczenia nagród wszyscy uczestnicy konkursu zostaną powiadomieni.

Organizatorzy zapewniają laureatowi nocleg i uroczystą kolację w dniu wręczenia nagród. Planowany jest też częściowy zwrot kosztów podróży (50%).

Nagrodę należy odebrać osobiście. Nagród nie wysyłamy drogą pocztową, nie dokonujemy

również przelewu na rachunek bankowy. W uzasadnionych wypadkach nagrodę będzie mogła odebrać osoba upoważniona przez laureata.

Nieodebrana nagroda przechodzi na rok następny jako „Nagroda specjalna”.

Prace będzie oceniać profesjonalne Jury. Przewidziane jest przyznanie trzech nagród i trzech wyróżnień. Przewidziane są nagrody pieniężne, a ich wysokość zależna będzie od kondycji finansowej organizatorów.

Dane osobowe pozyskane dla celów konkursu nie będą udostępnione osobom trzecim. Organizatorzy nie zwracają nadesłanych prac, jednocześnie zastrzegają sobie prawo do zaprezentowania i publikowania utworów bez honorarium, tylko w ramach promocji, w różnych mediach zgodnie z ustawą z dnia 4 lutego 1994 r. o prawie autorskim i prawach pokrewnych (Dz.U. z 2000 r. Nr 80, poz. 904 z późniejszymi zmianami).

Uczestnik konkursu automatycznie wyraża zgodę na publikację nagrodzonych, wyróżnionych i zauważonych utworów w publikacji konkursowej, pismach literackich, prasie lokalnej i na stronach internetowych organizatorów.

Prace niespełniające wymogów regulaminowych nie będą oceniane.

Organizator zastrzega sobie prawo do przedłużenia lub przedłużenia konkursu, a nawet od całkowitego odstąpienia od konkursu w razie wystąpienia przyczyn niezależnych od niego.

Złota Róża

Fundacja ARKONA już po raz trzeci ogłasza konkurs o Złotą Różę, Nagrodę Literacką im. Jarosława Zielińskiego, młodo zmarłego poety. Konkurs, jest przeznaczony dla autorów, którzy w roku wydania tomiku poetyckiego nie przekroczyli 41 roku życia. Laureat otrzymuje nagrodę pieniężną, obraz znanego malarza oraz pamiątkowy dyplom.

W składzie Kapituły nagrody: Aleksander Nawrocki (przewodniczący), Stanisław Grabowski (sekretarz Kapituły), Lam Quang My, Andrzej Walter i Mikołaj J. Wachowicz.

Autorzy ubiegający się o nagrodę, także wydawnictwa i instytucje, tomiki poetyckie powinni nadsyłać do 15 czerwca br. na adres: Stanisław Grabowski, ul. Koński Jar 2/27, 02-785 Warszawa, z zaznaczeniem na kopercie „Konkurs Literacki im. Jarosława Zielińskiego”. Ogłoszenie wyników Konkursu nastąpi w sierpniu.

Laureat zostanie powiadomiony listownie o przyznaniu nagrody oraz miejscu i terminie jej uroczystego wręczenia (wrzesień br.).

Telefony kontaktowe: 22-641-96-28 oraz 691-458-087.

IX Metafory Rzeczywistości 2016 Wojna. Be war/or not to be

Metafory Rzeczywistości – konkurs dramaturgiczny organizowany od 2008 roku w Teatrze Polskim w Poznaniu zmienia swoją formułę i staje się konkursem tematycznym. Nowością jest również fakt, że w tym roku jury wyłoni pięciu finalistów, a wszystkie zwycięskie dramaty zostaną pokazane w ciągu jednego dnia, w różnych miejscach Teatru Polskiego w Poznaniu.

Tematem IX edycji konkursu jest hasło z pla-

katu Mieczysława Wasilewskiego: Be war/or not to be. Wydarzenia ostatnich lat, miesięcy czy dni każą powracać do tematu wojny na wielu obszarach. Wojna to nie tylko wybuchy armat, bomb czy odpalanie wyrzutni raketowych. Wojna rozgrywa się przecież w każdym z nas – walczymy z bliskimi, z demonami w swoich głowach, na różne sposoby odmiwiamy słowa takie jak: terroryzm, tolerancja, inność.

Naszą ideą jest sprowokowanie osób piszących do odnalezienia własnego rozumienia słowa wojna oraz nieszablonowych sposobów jej przedstawienia. Konkurs podzielony jest na trzy etapy. Podczas pierwszego etapu autorzy zgłaszają własne, wcześniej niepublikowane i niewystawiane dramaty. Termin nadsyłania dramatów upływa **15 czerwca 2016**. Jury, spośród nadesłanych utworów, wybierze pięć dramatów.

Drugim etapem projektu jest przystosowanie wybranych tekstów do wymogów sceny. Dla autorów jest to pierwsza okazja do obserwacji, w jaki sposób ich dramaty funkcjonują na scenie i jakimi środkami posługują się reżyserzy i aktorzy, przekładając teksty na język teatru.

Ten etap zrealizowany zostanie w dniach **12-16 września 2016**. Do udziału w nim zaproszeni zostaną aktorzy Teatru Polskiego w Poznaniu oraz wybrani przez Dyrektora Teatru reżyserzy.

Etap trzeci polega na zaprezentowaniu dramatów w formie czytań scenicznych w Teatrze Polskim w Poznaniu **17 i 18 września 2016**. Finał konkursu będzie miał miejsce **18 września 2016**. Tego dnia odbędzie się głosowanie i przyznanie trzech nagród pieniężnych: Nagrody Prezydenta Miasta Poznania (25 000 zł), Nagrody Dziennikarza (5 000 zł) oraz Nagrody Jury Społecznego (5 000 zł).

11. Połów – Poetyckie Debiuty 2016

Organizatorem konkursu jest niezależne wydawnictwo Biuro Literackie z siedzibą we Wrocławiu.

Konkurs skierowany jest do poetów przed debiutem książkowym.

Każdy z poetów może zgłosić do konkursu zestaw 12-13 wierszy. Zgłoszenia należy przysyłać za pośrednictwem formularza.

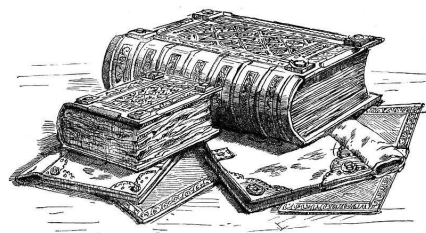
Dariusz Sośnicki i Marta Podgórnik ocenią nadesłane wiersze i wybiorą 25 poetów, którzy wezmą udział w warsztatach literackich.

Na stronie organizatora czytamy: „Połów promuje najciekawszych w danym roku autorów przed debiutem książkowym w Polsce. Oferuje możliwość pracy z uznanymi poetami, wyjątkową publikację oraz występ na tej samej scenie, co znani i wyróżniani krajowi i zagraniczni pisarze. Najlepsi z autorów będą mogli także liczyć na wydanie swojej debiutanckiej książki”.

Termin przyjmowania zgłoszeń 2016-06-19

Strona konkursu:

biuroliterackie.pl/biuletyn/newsy/startuje-11-edycja-polowu/



Marek Jastrząb

Po-ranne noce (13)

Felietony i przynudzanki

Orędzie demagoga

Na poradlonych plecach czujesz ciarki, a zgroza płynie ci przez dotychczasową twarz. Jesteś rozdygotany i zewsząd otacza cię bezlik możliwości, jakichś opcji, czy alternatyw prowadzących do dokonania właściwego wyboru. Czujesz się jak pijane dziecko we mgle: zagubione w gąszczu jedynie słusznych dróg, natrętnie i bez ustanku poddawane nieproszonej presji: tak zwana nowoczesność domaga się twojego aplauzu, masz więc przed sobą mrowia trafnych wyjść.

Znalazłeś się na rozdrożu: przytłamszony rozterkami. Pomiędzy tym, do czego jesteś przyzwyczajony, a tym, co należy do dzisiejszych wymagań. Jesteś nawykły do rozsądku, a obecna rzeczywistość winszuje sobie zachowań odmiennego rodzaju: masz mówić, myśleć i działać, jakby nie istniały pewniki, a dwa plus dwa dawało trzy.

Cztery, to ryzykowna teoria, heretyckie przypuszczenie, wybroczyna domorosłego matematyka. Pozostałość po minionych czasach. Niegdysiejszych, czyli już niepotrzebnych i wstydliwych, odwrotnych do chaotycznej dzisiejszości.

Zapanowała wolność, entuzjastyczna swoboda wyrażająca się brakiem męczących rygorów postępowania. Nastąpiło poluzowanie blokady z rygorami, hamulcami, moralnymi ograniczeniami i króluje powszechny odpust; wolność, która zapanowała, jest kompozycją rozmemłanego wariata. Ideą wyzwoloną z kaftanika bezpieczeństwa i puszczoną na żywioł, uwolnioną od brania leków, przebywającą na odwyku od myślenia; ideą faceta występującego w przyrodzie pod nazwą Obluzowany Człowiek.

Wyzuty z obroży, zaczął od kasacji pojęć, których nie rozumie.

Po cholerę uczyć się czegośkolwiek, znać Historię, wiedzieć, co to filozofia, matma, łacina. I na co komu literatura, greka, jakieś podejrzane klasyki, Nałkowskie, Szymborskie, Kapuścińskie, Reymonty i inne łamagi, po diabła te Noble i Pulitzerzy, Kościelskie i Nike, o których nie opłaca się mieć rzetelnej wiedzy? Wedle jego rozeznania każdy czelko-kształtny człek powinien orientować się gdzie dają piwo, rachować na palcach, wyniuchać, przed kim lub czym leżeć na wznak w wyprostowanej postawie. Więcej przyswoić sobie, to

zbrodnia, masakra, przepych. Po jakie lichy słuchać Beethovena, skoro istnieje gwiazda w pudelku? I na co komu Chopin i jego fortepianowe banały, ta romantyczna pierdoła z przedawnionych czasów?

Pytasz się więc: gdzie nam to wszystko wsiąkło? I odpowiadasz: wsiąkło, ale jak to w z regułą bywa, są wyjątki. Są ludzie, którzy nie dali się nabrać na frazesy typu *apoconamto*: twórcza praca nad sobą, znajomość Historii i edukacja.

Mógłbym dalej wyliczać, ale co to da? Światli wiedzą, a niegramotnych i tak nie przekonam. Toteż doszedłem do wniosku, że i z dzisiejszych czasów można się czegoś nauczyć. Stwierdziłem, że musi być czegoś za wiele, by po pewnym okresie odczuć tego czegoś przesyt. Wręcz zamęt: coś na kształt dokuczliwego kołatania mózgu. A ta kołatka już teraz jest tak namolna, że prędzej niż później przywiedzie nas na powrót do zbezczeszczonej normy.

* * *

W atakach na stare prawidła, prym wiodą młode pokolenia, co jest oczywiste. Postanowiłem więc przeczekać lepsze czasy.

Czasy triumfu pychy i zaprzeczeń oczywistościom. Niech inni nadstawiają karku, bawią się w subtelnosc, reagują na zło, krzywdę, grają w cymbergaja z głupotą. Ja z tym skończyłem.

Wypisałem się z aktywności, z zaangażowania w cokolwiek. Pragnę żyć jak reszta. Jak reszta być bezstronnym obserwatorem, który ma wiele do powiedzenia, a niczego do roboty. Wziąłem głęboki oddech i rzekłem sobie, że już nie mam zamiaru bredzić o szlachetności, honorze i pozostałych błahostkach. Mierzi mnie obecny czas i nic mnie w nim nie cieszy; tak mi przecieka kolejny dzień: wolny od marzeń.

Lecz po chwili zastanowienia powiedziałem sobie, że gdyby nastąpił sezon na wrażliwe odbieranie świata, będę razem z nim.

Przykładny, uczynny, wnikliwy, przepojony braterstwem itp. Na razie jednak wypatruję innej dekoracji: nowego wdzianka do przespania doniosłych zmian.

Demograficzna absurdałka

Jak doniosły statystyki, wszystkie miasta, wsie i wyspiska na jednym z możliwych

wszechświatów okazały się (nagle i bez ostrzeżenia) nadmiernie zagrożone zbędnym narodem. Kreatury przeznaczone na odstrzał, zasiedziały w życiu, będące w wieku przeterminowanym, z niezgłębianych przyczyn zwlekały ze śmiercią i czepiały się życia; bluźnierczo żartowały z apeli o zachowanie biologicznej przyswoitości i punktualne schodzenie z areny.

Na próżno fachowcy od perswazji namawiali je na posługiwanie się taktem. Na darmo specjalne Szwadrony do Walki z Przeludnieniem pchały się do nich ze swoimi żalonymi brakami tlenu, wody i żarcia. Bezcelowe były próby przekonywania ich, żeby choć ze względów ekologicznych, zmiłowali się nad resztą świata, i sprawniej uwijały się z odejściem. I nawet Brygadam Humanitarnych Obrzydaczy Istnienia nie udawało się przekonywanie opornych. Paskudna bezwyjściowość wkradła się w zdeorientowane szeregi naprawiaczy zgłiszcz, toteż zgodnie z tendencją do nadawania nazw, powołano wyspecjalizowaną grupę kasacyjną i okrzyknięto ją Demograficznymi Fundamentalistami.

Rzecznik tego zespołu oznajmił na początku, że zachodzi przedziutka konieczność zwołania konferencji. Ni mniej, ni więcej oświadczył, żeby naukowcy, którzy mają koncesję na rozum i są obeznani w pieprzeniu trzy po trzy, wypowiedzieli jakieś mądre słowo ku pokrzepieniu serc. Po chwili dodał, że jeżeli nie potrafią z tym się uporać, to niech idą w diabły i huśtają na tułaczym kiju.

Jak postanowiono, tak zrobiono: z posłuszną pieśnią na nawróconych wargach zużyte kpy przechodziły na lepszą stronę niebytu. Lecz, by nie przewróciło się im w łepetach i nie zapomnieli, na czym polega bezbrzeżny smutek, z Siódmego Nieba leciały na nich nadpsute niepowodzenia.

O dawaniu słowa

Słowo nie bierze się z powietrza; dysponujemy informacjami. Wiarygodnymi lub nie. Na ich podstawie coś tam komuś obiecujemy. Jest to umowa i staramy się jej dotrzymać. Staramy się być lojalni wobec własnych decyzji.

Załóżmy, że decyzja dotyczy ślubu. Składamy przysięgę i w momencie jej składania wierzymy w nią święcie.

(Dokończenie na stronie 4)

Po-ranne noce

(Dokończenie ze strony 3)

Jesteśmy młodzi, zauroczeni, wydaje się nam, że przeniesiemy góry, a co dopiero wiotką oblubienicę przez próg. Ale po miodowym miesiącu, czy tygodniu, zaczynają się dożywotnie schody: oblubienica lub oblubieniec nie są aniołami i wyciągają z ukrycia swój prawdziwy charakter. Arsenał konwencjonalnych min. Teraz już mogą, bo kłamka zapadła.

Dla rozrywki lub z nudów, zaczyna bijać wybrankę, bo twierdzi, że mięso duszone lepiej mu smakuje. Początkowo jest wstrzemięźliwy: robi jej pucówkę tylko w weekendy i nigdy przy gościach.

Potem gania ją co dwa dni, a jeszcze później – codziennie...

Byłe pretekst jest katalizatorem. A że nudzi się coraz częściej, awantury stają się tradycją. Co jej zarzuca? Różne takie. Na przykład, że kiedy ją widzi, to chce mu się wyć. Żałosna cielęcina dwoi się i troi, by jej Pan i Władca przestał ją lać, więc, by w domu było jako tako, idzie do roboty, a stary na piwo.

Pracuje na dwa etaty. Robota pali jej się w rękach. Ubzduriała też sobie, że kiedy na świecie pojawi się dzidzius, mąż się ustakuje.

Jednak dziecko było dla niego dodatkową gębą przy stole, konkurentem do michy, niesfornym bachorem pętającym się pod nogami. Malec, który widzi, jak tatulina kocha mamulinę, uczy się, że ciskanie mamą o ścianę jest objawem miłości. Z nauki tej wyciąga wniosek, że jak dorośnie, będzie taki sam.

A moje wnioski? Mam dwa. Pierwszy polega na informacjach.

Jakie informacje takie decyzje. Nie na darmo istniał w archaicznych czasach obyczaj długiego narzeczeństwa. Ludzie mieli możliwość obserwacji przyszłych dożgonnych. Kiedyś również mawiało się, że aby poznać drugiego człowieka, trzeba zeżreć z nim beczkę soli. A drugi jest ten, że podejmując jakiegokolwiek zobowiązanie, muszą liczyć się z jego konsekwencjami. Ponieważ moje decyzje wpływają nie tylko na mnie.

Przykład, to opisana tu niewolnica. Złożyła przysięgę i z tej przyczyny cierpi jej syn. Na razie tylko się moczy ze strachu przed mendą, na razie ma początki cukrzycy wywołanej stresem, ale nie będzie trzeba długo czekać na efekty ślubowania; myślę, że do małżeńskiej przysięgi należałoby dodać słowa: i nie opuszczę Cię, dopóki mnie nie zatłuczesz.

Słomiany zapach

Od czasu do czasu, jak uporczywa czkawka, prześladowają nas wyrzuty sumienia. Chcemy się zmienić, naprawić, coś nas męczy

i nie pozwala patrzeć na siebie, jak na ludzi wolnych od nałogu.

Za dużo palimy, kaszlemy coraz częściej, dusi nas, z trudem łapiemy powietrze, a na dodatek ciągle słyszymy, że ten przestał, tamtemu się udało, więc kombinujemy, że chyba i nam nie zaszkodzi spróbować, bo a nuż. Pijemy też. Pociągamy niezłe, bo jak bez jednego na zapęd, tak całkiem na trzeźwo przetrwać z tym światem, argumentujemy. W pracy jest nam również nie tak, jakbyśmy pragnęli. Szefostwo wymaga, byśmy byli aktywni, kreatywni, dyspozycyjni, co nie zawsze jest możliwe. Mamy więc zgałę i poczucie winy.

Ale jest sposobność, by pozbyć się moralnego kaca. Sposobność ta ma tytuł: obietnice. Przy lampce szampana, rozbawieni, roztańczeni, uniesieni powszechną euforią, składamy solenne śluby: od jutra won z przywarami, od jutra będziemy zaci do ostatniej kropli krwi. Będziemy dbać o zdrowie, Kierownik Dyrektor odzyska do nas zaufanie, da nam premię, podwyżkę i awans.

Lecz upojna euforia kończy się bladym świtem i, jak w piosence: wszystko przemija nam. Tu dopada mnie refleksja: wszak obietnice składamy częściej.

A to żonie, że przestaniemy ją bijać regularnie co tydzień i ograniczymy się do jednego razu na miesiąc, a to narzeczonej, że nie spojrzymy na żadną inną w każdy wtorek.

Przykładów mamy po uszy. Dzień Kobiet, Dzień Hutnika, Górnika, Człowieka Bez Kasy, Dzień emeryta, Człowieka Na Medal, Dzień Człowieka Bez Medalu, Walentynki, Święto Konia. Dni obietnic frygają po kalendarzu i coraz nam ciasniej w krainie przesadnych deklaracji i coraz nam bardziej żal tych naszych wygłupów z dotrzymywaniem słowa.

Teatr

Za podgniętych czasów, rodzice zabierali mnie do teatru. Miałem wtedy siedem lat, a przedstawienia należały do marudzeń dla dorosłych. W tym wieku nie lubi się zabaw wymagających bezruchu, skupienia, zwłaszcza zaś tego, że, pod groźbą maminiego szczypta, nie wolno było oddychać bez rozkazu, wiercić się oraz szeleścić sreberkami. Jednak już wtedy należałem do niedojrzałych zgredów i lubiłem te sadyzmy. Magia teatru, szelest sukien, aktorki, aktorzy, wszystko to działało mi na wyobraźnię, skłaniało, jak nałóg, do powrotu. I, dopóki mogłem, wracałem, bo takie są moje obyczaje.

Rodzice, a szczególnie Tata, chodzili do teatru często. Częściej, niż nasz sąsiad na jednego. Dodatkowo był z ojca kinoman. Na filmach się znał i mógł o nich rozwozić się godzinami, bo to była jego pasja. A że pracę miał terenową i całymi tygodniami przebywał poza domem, zaliczonych przez niego spektakli i filmów nie sposób zliczyć. Z każdej

podróży przywoził po dwa – trzy programy. Dzięki nim znałem obsadę, treść sztuki, nazwisko reżysera, najlepsze recenzje, a z opowiadań Taty dowiadywałem się, czy uczestniczył w WYDARZENIU, czy odwrotnie: w zbiorowej stracie czasu.

Teraz wędruję po tych oprawionych programach z Polski i odkurzam pamięć minionego świata. Zebrane w jedną książkę, mają sens inny dla mnie i inny miały dla mojego ojca. Dla niego stanowiły zapis konkretnej rzeczywistości, znanych dat i miejsc, dla mnie natomiast są potwierdzeniem istnienia miejsc, których już nie ma. Tak jak nie ma już rodzinnych wyjść do teatru, kina, opery, na koncert. I to nie dlatego, że ludziom się nie chce. Chciałoby im się chcieć, co do tego nie mam żadnych wątpliwości, lecz mam wątpliwości, czy mieliby za co.

„Ino im się nie chce chcieć”

Pewnik: nie cała współczesna pisanina jest beznadziejna. Są powieści, wiersze, opowiadania zadające kłam uproszczonym wyrokom, tyle że mało ich: giną przysypane gniotami. Mówię o internetowej twórczości, czyli o dobrodziejstwie dla piszącego do tak zwanej szuflady.

Zanim zaczął w nim gryzmolić, pies z kulawą nogą nie znał jego wypocin. No, może poza nieobiektywną rodziną skłonną do zdawkowego cmokania. Teraz wchodzi na portal i wkleja byle co. Niekiedy rzecz wartą mszy, a czasem – barachło.

Upakany nadzieją roi sobie, że ktoś go przeczyta i na skrzydłach entuzjazmu polecą z donosem do Dziadka Nobla, że oto narodził się talent i trzeba go natychmiast dopieścić.

Oczywiście, pisanie w Internecie ma sens nie tylko dla niego, gdyż po pierwsze dowiadyduje się, co tygrysy lubią najbardziej, a po drugie, że nie jest takim literackim cudem, jak mu się wydawało. Co go z punktu stawia w pozycji ucznia, a nie mistrza. Bo od razu spotyka się z reakcjami potencjalnych czytelników zięjących komentarzami różnej maści.

A te mogą go zachęcić do pisania lub stłamsić. Gdy trafi na w miarę obiektywny i na dodatek nie jest zarozumiały, może skorzystać z zawartych w nim uwag i poprawić błędy. Ale gdy natknie się na opinię jadowitego durnia, który mu napisze, że tekst jest fatalny i przy okazji nie powie, dlaczego, może się tylko zadławić wirtualnym oburzeniem, albowiem dalej nie wie, jak i co ma zmienić na lepsze.

Lecz załóżmy, że trafi na mądrego, który doradzi, wesprze i doda otuchy. Ostatecznie cuda się zdarzają i nie da rady twierdzić, że wszyscy są źli, złośliwi i nieuczynni. Przeciwnie.

cdn.

Marek Jastrząb

MNIJ WIĘCEJ (136)



Foto: Zofia Mikula

Tezaurus mądrości

Anna Solbut debiutowała zbiorem wierszy w 1991 roku, zresztą poprzedzonym cztery lata wcześniej arkuszem poetyckim. Potem ukazywały się kolejne jej tomiki. Doliczyłem się ich sześciu. Po drodze zdobywała laury i nagrody, ale to nie była „kariera” spektakularna. Bo Ania należy do tych poetek, które żyją autentycznie swoją pasją, lecz w ciszy, w skupieniu, bez podniecania się wyścigiem między straganami targowiska literackiego.

LESZEK ŻULIŃSKI

Udało jej się „wypracować” własny styl, który rzuca się w oczy w jej pisaniu. To epigramaty, czyli wiersze krótkie, zwięzłe... W jej przypadku „esencjonalne”, tzn. mające swój ciężar frapującego przekazu. Innymi słowy, Solbut potrafi w czterech czy sześciu wersach mówić coś ważnego o sobie, o życiu, o świecie, o losie. I o zdarzeniach, które na ogół przegapiamy, a które kryją w sobie Ważny Morał lub Skryty Sens. To nie jest częsta cecha naszego pisania. Bo to jest rzadki dar. Wybitni aforyści go posiadają i jakaś cząstka tego daru błąka się pięknie w krótkich wierszach Ani.

W tym zbioru najkrótszy wiersz ma trzy wersy, a najdłuższy osiem. Frazy wersów też nie są rozwleczone. Jednym słowem: miniaturki. Pytanie zasadnicze więc brzmi: co można zmieścić w tak krótkich formach? Najlepszą odpowiedzią jest właśnie fenomen aforyzmu, który w jednej linijce potrafi zmieścić ogrom treści. Ale tu jednak mamy do czynienia z wierszami, które – jak wiadomo – od aforyzmów różnią się „tonem lirycznym”.

Te wiersze – wszystkie – są pozbawione tytułów. Zamiast nich – „trzy gwiazdki”. Ta „ascetyczność” też – wydaje mi się – jest dobrą decyzją autorki. Wszystko, niemalże wszystko jest tu podporządkowane „kompresji”. Dyscyplina warta podziwu!

Tytuł zbioru – *Mgielki* – jest tu cudnie wymyślony. Pomyślałem nawet sobie, że mogła by to być nazwa nowego gatunku lirycznego. W tym tytule Solbut uchwyciła „główną substancję” swojego pisania. Jak można by ją opisać? Ano *mgielki* to coś ulotnego, subtelnego, delikatnego. Ich fenomenem jest muśnięcie. W poezji może ono mieć siłę wulkanu. Takich ekstremalnych „uderzeń” Solbut raczej unika, ale „aksamitność słów” ma tu swoją osobną siłę. I wcale wiersze te nie są „przeliryzowane”. Jednym słowem: poetka znakomicie poprowadziła ten przekaz. Ale dajmy już spokój teoretyzowaniu, bo – jak zwykle – najważniejsze są wspomniane wyżej treści i sensy przekazu. Czyli: „co poeta ma do powiedzenia”?

Ten wyżej wspomniany najkrótszy wiersz brzmi tak: *Szukamy drogi / nie poszukując / siebie*. Tak, można go uznać za aforyzm, ale aforyzmy nie posługują się taką strukturą zapisu. Więc autorka wyraźnie daje nam znak: to jest wiersz! Jego prostota jest doprowadzona do granic możliwości. Już bardziej ascetycznym być się nie da. W czym cymes? Oczywiście w wyłuskaniu paradoksu: droga jest mało warta, jeśli nasza tożsamość po niej nie kroczy. W sumie kryje się tu przesłanie egzystencjalne. Przesłanie egzystencjalne w pięciu słowach i trzech wersach? Ano właśnie!

A teraz garść innych przykładów. Na przykład taki: *Prawdy / są jak / diamenty // zbyt drogie / by je posiadać*. Tu podoba mi się pewien ukryty sarkazm. Jednak jest i coś więcej, mianowicie pewien sceptycyzm agnostyczny. Może rzeczywiście jesteśmy zbyt „ubodzy”, by pojąć wszystko?

Lub: *Marzymy / o wolności // ale rzadko / umiemy ją unieść*. Oj, tak: wolność to trudna sprawa. Często nas przerasta.

A oto kolejna mądrość sarkastyczna: *Natura / zawsze/ była blisko / człowieka // choć on / nie dostrzegał / nawet / swojej własnej*. Tu z kolei mamy do czynienia z grą słów, bowiem słowo „natura” występuje tutaj w dwóch swoich osobnych sensach. Proste ich zderzenie, ale jakże wymowne. Natura jako przyroda i jako nasze usposobienie. Zresztą znajdujemy podobne zderzenie w innym tekście o innej wymowie: *Nienaturalny / uśmiech / staje się / częścią / naszej natury*.

Sporo znalazłem tekstów moralizujących na temat naszej ułomnej sztuki życia. Na przykład taki: *Twardo / stąpamy / po ziemi // trzymamy nas / lek / przed lataniem lub: Posiadanie zegara / nie zwalnia nas / z odpowiedzialności / za czas / zwłaszcza / ten stracony*.

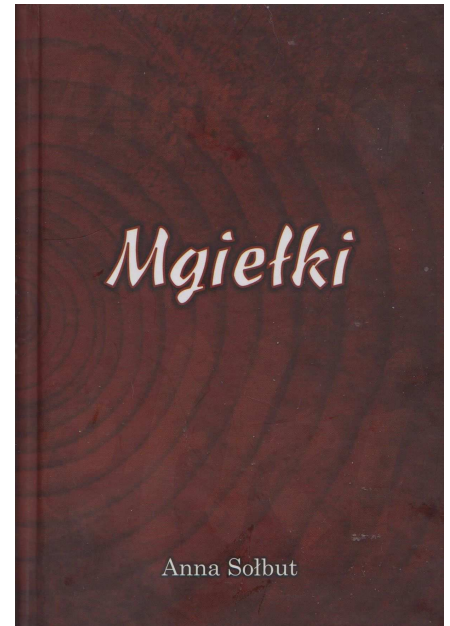
Czasami zdarza się coś takiego: *Jesteśmy sami // sami sobie / winni*. Pobrzmiewa ta sentencja oskarżeniem o to, że nasza samotność wynika tylko z naszej winy. A więc memento zmuszające do autorefleksji. I to ważne.

I na koniec tej wycieczki przykładów jeszcze jedna refleksja Ani. Dla mnie ważna, bo faustowska, a – jak wiadomo – mam „goetheańskie zboczenie”: *To tylko / chwila / czasem jedna / pozwala / przetrwać wieki*

Dosyć! Ta niewielka, skromnie wyglądają-

ca książeczka to istny tezaurus życiowej mądrości. Anna Solbut ma dar dziwienia się głębokim sensom, które na co dzień pozostają dla nas powierzchowne. Umie wyłapywać nadsensy i podsensy, potrafi proste słowa i sytuacje stawiać w nowej roli i istotnym przesłaniu. Fenomen takich „drobnych tekścików” polega m.in. na tym, że „zwykłe” słowa i sytuacje dźwigają refleksje umykające nam w zwykłym, codziennym języku. Mówimy „automatem”, a autorka rozbiera tę maszynę mowy i języka na elementy pierwsze i wtedy nagle uświadamia nam paradoksy sensów drzemających gdzieś w cieniu codzienności i zwyczajności.

Brawo, Aniu! Jestem pełen podziwu!



Anna Solbut, *Mgielki*. Wydawnictwo BUK, Białystok-Sobolewo 2016, s. 172.

Anna Solbut

* * *

Cztery strony świata

i tylko jedno życie
nieukierunkowane

* * *

Taki
wielki świat

a my nadal
rozpychamy się
łokciami

* * *

Jeszcze
tylko makijaż

z półprawdą
nam do twarzy

Jurata Bogna Serafińska

Wielkie ryzyko

Słucham dyskusji zawziętych,
Racji, stanowisk, programów
Polityków, dziennikarzy...
Z tej drugiej strony ekranu.

I mam pytanie szczególne –
Dlaczego, tak z panów wielu,
Mówi, kalecząc polszczyznę
Na drodze do swego celu.

Ostatnio słowo **RYZYKO**
Jest modnie odmieniać co dzień
Zajrzyjcie więc do słownika,
Zobaczcie o co mi chodzi.

W słowniku¹ jest adnotacja –
To wyraz bez liczby mnogiej!
Zacznijcie mówić poprawnie,
Bo słuchać was już nie mogę.

Nieodmienne ultimatum

Od kilku dni **ULTIMATUM**
Robi karierę – bez sensu.
I znowu – błąd do kwadratu
Próba odmiany nonsensu.

Że wyraz to nieodmienny
Sprawdzić w słowniku² wystarczy,
By gramatycznie dowodzić
I nie powracać na tarczy.

Pomijam sens polityczny –
To błędy pseudo-pismaków,
Którzy się męczą z wyrazem,
I mówić wciąż nie potrafią.

Warszawa, 22 maja 2016 r.

¹ Wielki Słownik Wyrazów Obcych PWN, Wyd. Naukowe PWN, Warszawa 2011, s. 1114.

² Tamże, s. 1299.

Agnieszka Hećko

czarna gracia

nosi podarte koronki ślubnej sukni
i skórzany płaszcz
dostojna
z odsłoniętą szyją

włosy upina szylkretową szpilką
czujne oczy starsze niż kosmos
nie znają szronu łez
oddech nie paruje w powietrzu

wtedy na torach
zapomniała po mnie sięgnąć
malowała czerwienią paznokcie

zanim wybrzmi

rozebrana z ciężaru liści
anorektyczna natura drzew
rozgarniana świetlistymi palcami
przebudzonego poranka

odpowiada pieśczętą balsamicznego odde-
chu
kołysaniem ołówkowych czerni

w spiralnych wieżach mgły
dojrzewają dźwięki
błogosławieństw

mama

znów kwitnie jaśmin
odurza
jak czarna herbata
w metalowym pudełku
od nie-ciooci Wandy

granatowa noc – szklana Pani Walewska
wklepana starannie pod oczy
zawieszona w oddaleniu
sinym jak moje bose stopy

opowiesz mi bajkę?
patrzę lepko
zachłannie
z jej ust dzwonki
jaskółki
skowronki
wszystkie nasze dzienne sprawy

a ramię pulchne zmęczone
przyjm litośnie Boże...
cieple
a gdy będziem...
zasypia
zasypiam
w jaśminowym oddechu

dziadek

w futerale łóżka
długość bez ciężaru
z hrabiego został pretekst
dla piżamy

służba nieliczna
wierny modlitewnik

nakastlik i syrop na kaszel

pukam

dłoń w filecie kopiowego ołówka
głoszcze wspomnienie po harcie
oczy w niebieskie

niezręcznie czekam z doczesną herbatą

wzdycha nie schodząc na ziemię
w Paryżu
to były kurwy

chłopak z sąsiedztwa

dźwięk tłuczonego szkła
krzyk zduszonych drzwi
schodami w dół po cztery stopnie
na złamanie karku

pamiętam twoją twarz
zaciśniętą w pięść
gniewem zdobyte miejsce na podwórku

mówili że stoczysz się
wydłubałeś geny jak ojciec esperal
sieroctwem z wyboru zasklepiona rana

ustawiasz sztalugi
czysty blejtram wypełniasz
szlachetnym werniksem
piękniejszym niż wszystkie wtedy połamane
kredki

kochanka

tętnią gorączką miejsca kultu
hotelowe pokoje parkowe zaułki

*sub rosa** doczekanej godziny
w adamaszku mroku
usta bez skargi

jego amulet skrywany w ciemności

pochyla się nad zebrowym sklepieniem
świętyni
zlizując słony pot
oczekiwanie jak otwarta rana

nigdy nie widział jej oczu
gdy powierzała słońcu
gasnące herbarium

wie kiedy zniknąć
z szelestem pończoch unosząc
zwiewny zapach heliotropu



Anna Sobczak

wypisz, wymejluj

odczytałeś maila?
wczytała Ci się miłość pomiędzy wierszami?
na pulpicie masz pewnie cały plik wyznań
i nie zaglądasz do kosza

wiesz
w tym mailu
jesteś cały
z WIELKIEJ LITERY

proszę
odczytaj maila
przecież go już tyle razy
nie wysłałam

Facebook

to tu
już niedługo
czarnymi literami
spadnie śnieg
– nim otworzysz okna
z jesieni już wyjdiesz krzyżykiem
to tu
ujrzesz tę od kotów
co je darzy silnie
miłością udostępnianą
z miauczeniem o pomoc

to tu
ten mężczyzna
obwieszcza klawiaturą
że ją poznał do granic dotyku
w 14 zdjęciach na żywo
czeka na lajki
czy ładna
i czy robić piętnaste

to tu
życie przez dziurkę od fona
takie proste:
majtki nie wpijają się w tabu
ani nawet śmierć rozreklamowana
nie straszy oryginalnością
ktoś filozofie sprzedaje
arie z toalety
policzone oddechy dzieci
newsy tatuaże – zwróć uwagę na mnie
zmienia status firmę rękawiczkę
przyjaciół szminkę i poziom mięśni
na tablicy wkurwiona urlopem słoneczkiem
emotką i karoserią pucowaną na potrzeby
selfie
spóźnia się
na pierwszą miłość
choć pisze że spieszy się kochać razem z tym
cytatem i obrazem kiczu podniesionym z sieci
jak leci jak śmieci
coś tworzy żłowiąc latte
i tyle cukru ktoś mu nasypał w tych
komentarzach

to tutaj
on ona ono
udaje
że wiersz rozumie
kciukiem skierowanym w niebo

Bez tej twórczości można żyć

Pamięci Wisławy Szymborskiej

jak tak można
bez uzgodnienia z rzeczownikiem
zmienić
czas na przeszły

zostawić
kota w pustym mieszkaniu
tak bardzo bliską ludzką małpkę
sarnę i cały napisany las
niepochwalone znów światło Vermeera
baletnicę pulchną no cóż że z papieru
telefon z „Astorii” skazany na dzyń
bałagan okoliczności na biurku Rusinka
studentkę była z magisterką eks

jak tak można odejść
zostać

W rytmie

dziś znów chce mi się pisać

kartka zaprasza do tańca
a rock&roll wpał mi do atramentu

dzięki Tobie znów chce mi się szaleć
i szukać kroków do tanga

dziś tyle dla mnie zrobiłeś
odkręciłeś wenę na cały regulator
aż serce zaczęło mi stepować

przeliczam na pięciolinię
każdą nutę twojego oddechu

posłuchaj
dzięki tobie
znów chce mi się śpiewać

tyle dla mnie
– patrzysz

Coś wirtualnego

Czuję twój oddech na moim profilu

rozbierasz mnie
literka po literce
piksel po pikselu
moje włosy w twoich pęczniejących zrenicach
pierwotny uśmiech w lustrze monitora
– rozdarty przez kilometry

wszystkie moje czułe miejsca
dotykasz szeptem klawiatury

jestem fotografią
wyświechtaną
znudzoną
ilością wyświetleń
zmierzoną ciepłem spoconej dłoni

palce zuchwale przesuwasz niżej
rozgrzanym kursorem
w głąb
mojego
nagiego

wiersza

* * *

dzień dobry mężczyzno
obudziłeś się

powiedz mi
kto ci powieki zaczepił skrzydłem
skałczył obcasem
podźwignął florystyczną kofeiną
puls

zresztą lepiej nie mów

masz jeszcze na oczach pajęczynę
snu

Apaszka

zazdrość zadana manekinowi
przez ostrze
wystawiennicze

frędzlami oczu przywłaszczana
dziewiczą metką rodzi pożądanie
nieopatrzono jeszcze turkus
tak najpiękniej nie mojej jeszcze
jeszcze
jeszcze

z wzorzystym spojrzeniem
pójdę tam
by szyję pętlą
owijać w bawelnę

pobiegnę
z zimną krwią
i jednym ciosem banknotu
zmienię
w stan kupienia



Dariusz Pawlicki

Przeciw literatom. O literaturze alternatywnej i pisarskiej uczciwości

Dopóki nie przeczytałem *Dziennika pisanego nocą* autorstwa Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, wyraz „literat” traktowałem jako synonim „pisarza”. Tak jak zresztą jest to prezentowane w kolejnych edycjach *Słownika języka polskiego* wydawanego przez PWN.

Z lektury wspomnianego *Dziennika* dowiedziałem się jednak, że Herling-Grudziński terminy „literat” i „pisarz” traktował rozdzielnie. Okazało się też, że nie był w tym osamotniony. Przytoczył na przykład fragment tekstu Elsy Morante, w którym ta sprawa została tak oto, zwięźle i jednoznacznie przedstawiona: „Nie należy mieszać pisarzy z literatami. Dla literatów, jak wiadomo, jedynym tematem ważnym jest, i zawsze była, literatura. Więc muszę tu zaraz ostrzec, że w moim słowniku codziennym pisarz (czyli przede wszystkim poeta) jest przeciwieństwem literata. Więcej, jedna z możliwych ścisłych definicji pisarza byłaby dla mnie wręcz taka: człowiek, któremu na sercu leży wszystko, co się dzieje, z wyjątkiem literatury”.

Nie wiem czy definicje „literata” i „pisarza” zostały w tekście Morante podane w szerszym kontekście, czy też sprowadzały się tylko do tego, co zawiera powyższy cytat. Natomiast Herling-Grudziński wspomnianą wypowiedź dopowiedział. Wyjaśnił bowiem, że słowo „literat” pochodzi od włoskiego *letterato*, co oznacza człowieka umięjącego „dobrze pisać” o wszystkim tym, czego od niego oczekiwali/zyczyli sobie panujący i wysocy dworscy urzędnicy, a w pewnych sytuacjach także niżsi.



Owi ludzie pióra gotowi do takiej właśnie „twórczości”, świadczyli usługi nie tylko dla włoskich władców, jak też rządów republikańskich epoki renesansu (do tego okresu nawiązuje, najprawdopodobniej, *letterato*). Zapotrzebowanie na nich istniało już we wcześniejszych epokach. Nigdy jednak nie mieli tyle pracy, co w państwach totalitarnych

XX wieku. Niewątpliwie wpływ na to miała ogromna wówczas rola słowa pisanego (w czasach nam współczesnych zastąpionego, w znacznej części, przez ruchome i nieruchome obrazy). A także to, że u źródeł tych totalitaryzmów leżały konkretne teksty, które następnie stały się ich „Świętymi księgami”.

Zdarzało się jednak często, że i w państwach demokratycznych powstawały publikacje inspirowane bądź wręcz zamawiane przez rządy, partie bądź inne organizacje społeczne; nie inaczej jest w czasach współczesnych. Z tego powodu ich treść była i jest niejednokrotnie uzależniona od tego, co w danej „chwili” zlecałodawcy uważali / uważają za dopuszczalne lub nie, do rozpowszechniania. Przykładem może być wpływ partii komunistycznych na życie umysłowe, kulturalne, społeczne w takich krajach jak Włochy i Francja w latach 40., 50., 60. i 70. ubiegłego wieku.

Wręcz wzorcowym przykładem pisarza w znaczeniu podanym przez Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i Elsę Morante jest Michaił Bułhakow. Tym bardziej, że w rzeczywistości, w jakiej przyszło mu żyć (tajemnicą polisylna były jego negatywne poglądy na temat owej rzeczywistości), chęć pozostania pisarzem, czyli odmowa bycia literatem, miała konsekwencje nie w postaci zakazu druku, ale – najczęściej – utraty życia. Lecz władza radziecka, a konkretnie Josif W. Stalin, nie upomniała się na szczęście o jego życie. Wciąż bowiem miała nadzieję, że będzie on pisał utwory chwalebne „dokonania” Związku Sowieckiego, a nie przedstawiające go w szponach szatana, jak to zostało zaprezentowane w *Mistrzu i Małgorzacie*. Niestety, wspomniana władza upomniała się, przykładowo, o życie Osipa E. Mandelsztama, który także chciał pozostać pisarzem, a konkretnie poetą, i pisać tak jak chciał, jak czuł.

Ale o ile Gustaw Herling-Grudziński „pisarzy” i „literatów” umieszczał na tle politycznym (przynajmniej w tym fragmencie swego ciekawego *Dziennika*, który stał się punktem wyjścia do moich rozważań), to ja w tym szkicu mam zamiar poruszyć, nieco inne, ale pokrewne sprawy. A na początku chciałbym wspomnieć o umizgiwaniu się literatów (wykorzystując słowo „literat”, podaję je, nie tylko w tym momencie, w znaczeniu podanym przez Elsę Morante), w przypadku pisarzy nie wchodzi to w grę, do wydawców, autorów piszących recenzje wewnątrzredakcyjne, krytyków, redaktorów

czasopism, przedstawicieli gremiów przyznających nagrody. To jest do tych środowisk opiniotwórczych, które, w zależności od swych potrzeb bądź przekonań, mogą promować bądź „niszczyć” (cudysłów odnośnie konkretnych przypadków nie zawsze jest wskazany) pewne utwory i pewnych autorów. Nie chcę jednak pisać obszerniej o wspomnianym umizgiwaniu się, jak i „niszczeniu”, i poprzestać na napomknięciach o nich. Natomiast zamierzam rozpisać się nieco szerzej o postawie wobec wspomnianych środowisk opiniotwórczych, którą znamionuje pewnego rodzaju obojętność. Dobrym jej przykładem jest postępowanie wielu przedstawicieli generacji ludzi pióra urodzonych w Stanach Zjednoczonych w latach 20. XX w. Choć należeli do niej również twórcy urodzeni nieco wcześniej i nieco później (posiłkuję się przykładem amerykańskim, a nie polskim ze względu na tamtejszą dłuższą historię wspomnianego przeze mnie w tym fragmencie zjawiska). Niezmiernie wielu było pośród nich poetów. Owi autorzy przynależeli do takich ruchów / nieformalnych szkół / kierunków jak, na przykład, Black Mountain College, nowojorska szkoła poetycka, grupa poetów skupionych wokół Roberta Bly’a. Najbardziej znane pośród nich, którego znaczenie nie ograniczało się tylko do literatury, to Beat Generation (na zachodnim wybrzeżu określane też mianem: San Francisco Renaissance). Do inicjatorów tego ruchu należeli Jack Kerouac, Allen Ginsberg, William Burroughs, Neal Cassady.

Zabarwiona dużą uczuciowością, erotyzmem, głosząca wyzwolenie od obowiązujących norm społecznych, nie stroniąca od wulgaryzmów (niekiedy nawet lubująca się w nich), czerpiąca wiele z mowy potocznej, twórczość beatników była nowością literacką w USA i nie tylko tam (w tym miejscu napomknę, tak dla porządku, że nie jestem miłośnikiem owej twórczości, jako takiej). Natomiast interesuje mnie konkretne zjawisko z nią związane. Ale nowością, równocześnie czerpiącą wzorce z amerykańskiej tradycji piśmienniczej. Odwoływała się bowiem, zarówno w sensie światopoglądowym jak i literackim, do twórczości Walta Whitmana, Ralpa Waldo Emersona, Henry’ego D. Thoreau. Do utworów niezmiernie bliskich temu pokoleniu, nie tylko przedstawicielom Beat Generation, należały wiersze Williama Carlosa Williamsa. Były one przy tym im współczesne, gdyż Williams zmarł w 1963 r.

A w jego wierszach pociągało ich między innymi to, że był on „apologetą języka bezpośredniego i wyzbytego wielosłowia, poetyckiej ekspresji (...). Nie stronił od dosadnych, a nawet obscenicznych określeń (...)”.

Preferencje środowisk dominujących w ówczesnej amerykańskiej literaturze, wyznaczających obowiązujące wzorce, były zdecydowanie inne, chociażby jeśli chodzi o słownictwo.

Po przeczytaniu zapisanych powyżej słów, być może zapytasz, szanowny czytelniku: gdzie tu miejsce na pochwałę, jako pisarzy, dla wspomnianych grup ludzi pióra działających w Stanach Zjednoczonych?

Otóż o tym, że byli pisarzami, a nie literatami (przynajmniej w początkowej fazie ruchu) świadczyła kompletna obojętność (może niekiedy udawana/upozowana) dla opinii wyrażanych przez literackie czynniki decyzyjne. Efektem tego było i to, że choć ich utwory ukazywały się, w niektórych niskonakładowych czasopismach, to jednak przez wiele lat nie były publikowane w postaci książek. Przykładem są powieści Kerouaca, które czas jakiś przeleżały w jego szufladzie. A gdy ukazały się drukiem, to nie dlatego, że autor przerobił ich pierwotne wersje, tak aby zadowolić wydawców, lecz, że oni zwiertrzyli dobry interes w wydaniu tekstów jednego z czołowych beatników, któremu wiele uwagi zaczęły poświęcać media.

Doskonałym przykładem postępowania młodych autorów wobec opiniotwórczych środowisk związanych z literaturą, jest postawa wspomnianej już grupy poetów nazywanej nowojorską szkołą poetycką. Tę postawę można określić skrótowo dwoma słowami: róbmy swoje! W okresie istnienia owego ugrupowania (połączonego głównie koleżeńskimi więzami, o wspólnym programie nie sposób bowiem mówić), czyli w latach 50. i 60. XX w., dokonania Franka O'Hary, Johna Ashbery'ego, Kennetha Kocha, Jamesa Schuylera, nie były w ogóle zauważane przez wspomniane czynniki. Na co wpływ miało i to, że owi poeci nowojorscy tych czynników... nie zauważali. Nie zabiegali o pochwały, nie wygłaszali odczytów na uniwersytetach, nie otrzymywali nagród (nie tylko tych prestiżowych), nie uczestniczyli w spotkaniach, których organizatorem była chociażby Amerykańska Akademia Sztuki i Literatury (American Academy of Arts and Letters). Publikowali natomiast w czasopismach i wydawnictwach, o których istnieniu gremia opiniotwórcze reprezentowane na przykład przez Amerykańskie Stowarzyszenie Poezji (Poetry Society of America), nie miały pojęcia, albo, co najwyżej, które znały tylko ze słyszenia. Do tego przesiadywali w pubach Greenwich Village i East Village, gdzie nie tylko dyskutowali i plotkowali, pijąc i jedząc, ale również czytali swoje utwory, jak też pisali, tak dla nich charakterystyczne, wspólne utwory poetyckie zwane kolaboracjami.

Gdy brakowało zainteresowania ze strony

wydawnictw i redaktorów uznanych czasopism, przedstawiciele alternatywnej literatury amerykańskiej, radzili sobie jak mogli. Swoje utwory wydawali na własny koszt bądź zakładali niewielkie oficyny wydawnicze. Klasycznym przykładem tego drugiego rozwiązania jest wydawnictwo City Lights Books, które później znacznie się rozrosło. Powoływali też do życia czasopisma, czego przykładem może być „Village Voice”. Często przy tym, dla obniżenia kosztów, stosowali rozmaite techniki powielaczowe.

To, że niektórzy przedstawiciele wymienionych ruchów, w późniejszym okresie zaczęli przenikać do wpływowych środowisk związanych z literaturą, jest już inną sprawą. Inną, gdyż nie dotyczy pionierskiego okresu istnienia owych ruchów.

Wspomniane zjawisko, jakim jest literatura alternatywna (zdaje sobie sprawę z pewnej nieprecyzyjności tego terminu w tym kontekście), które omówiłem powyżej na przykładzie części literatury Stanów Zjednoczonych powstającej od lat 50. XX w., możemy obserwować po 1989 r. w Polsce. Co konkretnie mam na myśli? Ruch wydawniczy finansowany z własnych środków przez autorów. To dzięki tej możliwości, będącej, po pierwsze wynikiem zniesienia monopolu wydawniczego państwa, po drugie, likwidacji cenzury, niejedną autor/niejedną autorka, może bez zawstyżenia (oczywiście jeżeli widziałby/widziałaby powód ku temu) spoglądać w lustro. No bo odpadł problem związany z dylematem, jaki miał miejsce niejednokrotnie przed wspomnianym 1989 roku, a który daje o sobie znać także po tym roku, ale w przypadku kontaktów z wydawcami prywatnymi. To znaczy: iść na ustępstwa czyli zgodzić się na żądane zmiany i ujrzeć książkę opublikowaną, czy też nie ulec wszelkim naciskom i ponieść tego konsekwencje?

Publikowanie na własny koszt ma jeden minus, i to minus niezwykle istotny – są to pieniądze autorów. A tego typu pisarze czy poeci rzadko mają ich wiele. Lecz, jakby na pocieszenie, towarzyszy temu bardzo istotny plus – upragnione „dziecko”, jeśli tylko autor poświęci temu odpowiednio wiele uwagi, zawrze w sobie zamierzoną treść i nabierze wymarzonego wyglądu.

Po napomknięciu na temat kosztów towarzyszących spełnianiu marzenia, wspomnę o powstającej dzięki temu literaturze. A zacznę od postawienia takiego oto pytania: czy ruch wydawniczy istniejący dzięki pieniądзом autorów (niekiedy są to środki sponsorów nie wnikających w jakikolwiek sposób w treść utworów) szkodzi literaturze? Nie sądzę, aby tak było. Lecz jeżeli nawet miałby szkodzić, to nie bardziej niż książki wydawane przez oficyny, z ich własnych środków, które ukazują się nie ze względu na zawarte w nich wartości, ale ze względu na spodziewane zainteresowanie ze strony czytelników, to znaczy na zysk. A które to zainteresowanie jest odpowiednio stopniowane (budowane)

dozowane za sprawą, ukazujących się w rozmaitych mediach, materiałów. Także tych mających postać dosłownych reklam.

Jeśli już miałbym kogoś/coś obarczać winą (jeśli jest to odpowiednie określenie i jeśli należałoby szukać winnych), to wskazałbym na zły/zatrważający poziom współczesnej krytyki literackiej w naszym kraju. Ta bowiem, niestety, bardzo rzadko jest w stanie pełnić swą podstawową funkcję. A ta, najpewniej nie tylko moim zdaniem, polega na oddzielaniu ziarna od plew. Choć faktem jest, że opinie co do tego czy Coś jest ziarnem, czy plewą, często są rozbieżne. Stan owej krytyki ma jednak istotny wpływ na to, że w Polsce, jeśli chodzi o działalność wydawniczą, ostatnie słowo, niestety, należy najczęściej do Księgowych i Menadżerów.

Rzecz jasna łatwiej jest zachować pisarską uczciwość – podążać własną drogą jako twórca, prezentując przy tym obojętność (autentyczną bądź udawaną), gdy w grę nie wchodzi zainteresowanie ze strony wydawców, jak też środków masowego przekazu. Łatwiejsze jest to także wówczas, gdy ową zainteresowanie daje o sobie znać, ale okazując je, nie formułują pod adresem człowieka pióra warunków dotyczących przykładowo przemilczenia pewnych tematów, złagodzenia niektórych sądów (warunki/sugestie związane ze zmianami stylistycznymi, poprawieniem błędów merytorycznych, są jak najbardziej zrozumiałe).

Łatwo, oczywiście, jest stroić się w szaty Ostatniego Uczciwego (Wiernego) Nieustępliwego, gdy nie stało się, i nie stoi, przed takimi wyborami/dylematami (jak i wszelkimi innymi, niezależnie od czasów, w których przyszło ich dokonywać).

Trudno, może nawet nie sposób, zarzucać autorski oportunizm komuś parającemu się piórem, kto deklaruje, że jest... oportunistą. Tak, racja, nieliczni to czynią (osobiście nie znam nikogo). Znacznie liczniejsi są ci, którzy twierdzą Coś zupełnie innego, a równocześnie idą na ustępstwa, aby zaistnieć...

Z tym, że ów oportunizm polega także na, mniej czy bardziej, świadomym dostosowywaniu języka utworów, jak też ich tematyki, do obowiązujących aktualnie mód. A to wszystko po to, aby pisać na przykład powieści, które ze względu na swą treść, mogą liczyć na duże zainteresowanie ze strony czytelników, co najczęściej jest równoznaczne z zainteresowaniem okazywanym przez wydawców. Ów oportunizm może zostać jeszcze „pogłębiany” przez podjęcie starań, aby utwór wzbudził zainteresowanie filmowców.

(Dokończenie na stronie 13)

Henryk P. Kosk

Z pamiętnika żołnierza Podlasiaka

(2)

– Ochotnik. Zęby wybili mi Niemcy, gdy wzięli mnie do niewoli, a na ochotnika poszedłem po powrocie z obozu, bo co miałem robić, gdzie miałem się podziąć. Nie mam domu, nie mam rodziny, nie mam nikogo. Myślałem, że w wojsku przeżyję najgorszy okres, a potem jakoś się urządzą. Ale wyszło inaczej.

– W jaki sposób przyjęli cię do wojska bez zębów?

– Dla rodowitego warszawiaka, który przeżył okupację i powstanie, takie coś to pestka.

Rozmowa trwała długo. Przerodziła się niebawem w dyskusję polityczną. Chciałem wiedzieć, dlaczego ten były powstaniec warszawski, który dla ojczyzny stracił wszystko prócz życia, stał się jej wrogiem. Nie dowiedziałem się tego. Była mowa o wszystkim: o tym, dlaczego Rosjanie nie pomogli walczącej Warszawie, czy powstanie było zbrodnią czy bohaterstwem, kto chce dobrze dla Polski – PPR czy PSL – i mnóstwo innych równie zasadniczych kwestii. Chłopak nie krępował się i plótł androny zaczerpnięte z arsenału niewybrednej bazarowo-knapiarskiej polityki. Boczkowski czasem przyznawał mi rację, czasem pozostawał przy swoim – bardziej z przekory niż z przekonania.

Obiad przerwał dyskusję. Prosiłem go – tak, prosiłem – by przestał się wygłupiać wśród żołnierzy i powstrzymywał swój niewyparzony jęzor za dziąsłami oraz żeby zgłosił się do pułkowego dentysty po wstawienie zębów. Jeśli mu przyjdzie chętką popyskować – to proszę bardzo, jestem do dyspozycji.

Poszedłem do sztabu. Poprosiłem dowódcę batalionu, by włączył strz. Boczkowskiego do normalnej służby.

– Co ty, kobyle dziecko, chcesz abym wiślał za twoje eksperymenty?

– Bądź spokojny. Ja biorę na siebie pełną odpowiedzialność za tego chłopca. Ty lepiej załatw, żeby mu wstawili zęby, które mu wybili hitlerowcy. Rodziców mu nie wskrzesimy, ale to można zrobić.

– Ty się nigdy nie zmienisz – zakończył rozmowę, ale nazajutrz Boczkowski był na służbie, jak wszyscy żołnierze, i po kilku dniach zameldował mi, że pułkowy dentysta sam go wezwał do siebie w sprawie zębów.

Wybuchła bomba w kwaterymistrzostwie. Zaczęło się od młodych oficerów żywnościowych i mundurowych. Po kilku miesiącach służby tak się odkuli, że bez kija do nich nie podchodź. Hardzi, butni, ubrani jak modelki, często zalani. Dużo kosztowało nas roboty, aby wreszcie schwytać delikwentów na gorą-

cym uczynku. Stawiali się, ale szybko oklapli. Siedzą w pierdlu i pójdą pod sąd. Ci główniarze to nic, ale kto by się spodziewał po kwaterymistrzu, że on organizował całą akcję zbiorowego okradania pułku? To złodziej na wielką skalę. Gorzej, że umknął i nie wiadomo dokąd. Dezerter w stopniu majora. To, co sobie przygotował, starczyłoby mu do końca życia. Wątpię, by to było już wszystko. Na pewno nie uciekł w nieznaną z pustą kieszenią. Sądzę, że daleko nie ujdzie. Pewnie siedzi u jednej ze swoich kochanek, a ta da się zintentyzować.

W pułku szumi jak w ulu. Na aferze zyskał autorytet naszego oddziału. To też się liczy.

Czerwiec

Jestem w szpitalu na Żelaznej. Czyżbym każdy czerwiec musiał spędzać w szpitalu? Czuję się już dobrze, ale wszystko to razem jakieś zagadkowe. Leżę w izolatce i czekam na ostateczny wyrok lekarzy.

Zaczęło się w ubiegłą niedzielę. Ja z Romkiem zostaliśmy wyznaczeni do zabezpieczenia uroczystej ekshumacji zwłok marszałka Rataja, zamordowanego przez hitlerowców w Palmirach. Jak to u nas zwykle bywa, kazano nam być gotowym do odjazdu o godz. 7.00 chociaż, o czym nie wiedzieliśmy, odjazd miał nastąpić dużo później. Zasnęliśmy i bez śniadania poszedłem do koszar. Czekałem głodny i wściekły, bo nie lubię marnowania czasu. Nic się nie działo, więc wyskoczyliśmy do Lusi i na chybiczka zjadłem kawal kielbasy zapijając „perełką”. W Palmirach czułem się źle. Było gorąco, duszno, tłok. PSL-owcy urządzili wielką manifestację, ale żadnej draki nie było. Piłem, co popadło pod rękę, bo mnie po prostu paliło w środku. Wróciłem chory. Lekarz pułkowy pokiwał głową i w poniedziałek rano odstawił mnie do szpitala.

Badania, dieta, izolacja. Zafrasowane, tajemnicze twarze lekarzy. Nie mogłem wygłupiać diagnozy. Pewnie dlatego, że lapiduchy nie umieli jej postawić. Skręt kiszek, zatrucie, cholera, dżuma. Wyspałem się, wypróżniłem i było po wszystkim, ale mnie maglują dalej. Mój opiekun por. Brzozowski, bardzo sympatyczny jegomość, poinformował mnie dziś, że mam gruźlicę płuc. Co ma piernik do wiatraka i przy tym ta niby gruźlica nie jest zwykła, a włóknista, czy wełnista. Ostatnio solidnie popracowałem. Nie dospałem wiele nocy i nie dojadłem. Odwaliliśmy referendum z pełnym sukcesem. Nie spałem

wtedy dwie noce pod rząd. Brzozowski mówił, że ta gruźlica to stara historia, tylko teraz się odnowiła i dlatego jest nieprzyjemna, ale mam szczęście, że ją wykryto, co rokuje nadzieje na wyleczenie. Też ma rację z tą starością. Kto wie, kiedy i na jakie choroby chorowałem? Nigdy nie byłem u lekarza i nikt nad moim stanem zdrowia nie rozczulał się. Lusina kielbasa i „perełka” mogły być tylko impulsem wyzwalającym to, co od dawna w organizmie siedziało.

Była Gienia. Nareszcie wpuścili ją do mnie. Podobno codziennie dobijała się o to. Płacze, rozpacza, powiada, że nie wyobraża sobie życia beze mnie. Rozczuliła mnie, choć z drugiej strony nie zachwyca mnie perspektywa małżeństwa. Mam na to dużo czasu, a jeśli wykituję, to nie mam go wcale.

Tak wiele miałbym do zanotowania dla potomnych, ale skoro mam wkrótce umrzeć – to mam wszystko gdzieś. Mam dopiero 24 lata i zbyt wiele przeżyłem po to, by doczekać wolnej Polski. Okazuje się, że niepotrzebnie. Głupio mi i ciężko. Może to wynik samotności? Nieprzyjemnie jest być samemu w czterech ścianach. Poczytam, prędzej zleci ta reszta czasu, jaka mi jeszcze została.

Lipiec

Jestem w domu. Ileż to czasu upłynęło, kiedy byłem razem z rodzicami i rodzeństwem w pełnym komplecie. Całe wieki. Dobrze tak, po wielu latach, wrócić na tak zwane łono. Wszyscy skaczą koło mnie, martwią się i cieszą na przemian. Martwią, bo jestem chory, cieszą – bo jestem. Ojciec, którego mama ledwie wyciągnęła ze wsi, pokiwał głową wysłuchawszy mojej dramatycznej opowieści o chorobie i powiedział, że lekarze są tylko lekarzami, a ja doczekam prawników. On zaś wyleczy mnie babskimi sposobami. I leczy mnie.

Codziennie rano świeżutkie mleczko od naszych rodzimych, przywiezionych ze wsi, krasul. W ciągu dnia opycham się różnościami z normalnego ludzkiego menu przepłatnymi klejem z siemienia lnu i ... psim sadłem. Podejrzewam, że mój poczcwy staruszek stał się hyclem i poluje na psy. Tylko jak on to robi, skoro nigdy jeszcze nie uciął kurze łba, a nad każdym zarżniętym, nie przez niego, wieprzkiem czy cielakiem – płacze. Ja nie palę, o picciu w ojcowskim domu nie ma mowy. Łazę po polach i lasach odzyskanej po wiekach, a tak mi bliskiej i znajomej ziemi. Czuję się dobrze. Mam apetyt i nastrój sprzed

miesiąca pierzchnął sploszony serdecznością i troską najbliższych.

Przyjechałem tu w przystępie rozpaczy. Szpital skierował mnie do sanatorium w Bierutowicach. Pomyślałem, że jeśli mam umrzeć gdzieś w sanatorium, to już lepiej u mamy. Moja aktualnie rodzinna miejscowość przeszła właśnie metamorfozę. Nie tylko w zakresie nazwy. Z cichej, głuchej i sennej stała się gwarną, pełną życia. W ciągu wiosny tego roku ofensywa osadników dotarła i tu, w głębie olbrzymich masywów leśnych, i wstępnym bojem Santocko przeszło w ręce poznańskich i zabużańskich chłopów. Niemcy jeszcze są, ale ich prawie nie widać. Wieś stała się polska. Schludne niemieckie domy zamieniły się w brudne wołyńskie i poleskie chaty, pełne kur, prosiąt i innego dobra obsiadającego malowane podłogi i resztki dywanów. Swójśko mimo wszystko.

Ludziska, nie wyłączając mojej rodziny i tych pierwszych osadników wojskowych, stale mówią o wojnie, wiszącej jakoby na włosku. To temat wszystkich rozmów. Tłumaczę jak umiem, że to jest bzdura. Moi rozmówcy z grzeczności potakują, ale co myślą? Ich szacunek dla moich gwiazdek uzewnętrznia się w propozycjach poczęstunku, których ze względów zasadniczych przyjąć nie mogę. Santocko ma już trzy knajpy, jest więc gdzie realizować nęcące propozycje, ale nic z tych rzeczy. Chcę być zdrow.

Pięknie jest na wsi. Marzę o tym, że gdy będę stary, osiadę tu w tym małym domku należącym do naszego gospodarstwa. Będę chodził po niezmiernych łąkach, po lasach, z dubeltówką i wspomnieniami. A jest ich sporo. Buszowałem po tych stronach wczesną wiosną ubiegłego roku. Tak to niedawno, a jakże już dawno. Pojechałem z Tadzikiem na miejsce, gdzie po zakończeniu wojny rozłożyliśmy nasz obóz. Z trudem odnalazłem polanę wśród lasów, nad małym uroczym jeziorkiem. Po naszych wspaniałych ziemiankach niewiele pozostało śladów. Aleje i ścieżki zarosły bujną trawą i chwastami. Tam gdzie były nasze polowe kwatery, pełni się zielsko i gdzieś tam młode, nieśmiałe jeszcze pędy leśnych drzew i krzewów. Jeszcze parę lat i będzie tu szumiął młody zagajnik. Ta moja polana to symbol życia, które rządzi się swoimi własnymi prawami.

1947 Luty

Przegałem sprawę Krycha. To taki jeden sukinyś z 6. kompanii. Od dawna miałem sygnały o zamierzonej przez niego dezercji. Sądziłem, że szczeniak przechwała się i zbagatelizował informację. Zawinił też tu nawal roboty planowej i dodatkowej. W rezultacie tego Krych zwiął, a ja wziąłem sobie za punkt honoru złapać go. Pojechałem z Romkiem do rodzinnej wsi dezertera. Godzina po północy, ciemno, głucho. W jakimś

Przedborzu odszukaliśmy posterunek MO. Zamknięty na wszystkie spusty nie zdradza śladów życia. Co robić w nieznannej okolicy o tej porze? Zaczynamy dobijać się do drzwi i okien twierdzy ładu i bezpieczeństwa. Początkowo nic nie zapowiadało, że wewnątrz może się ktoś znajdować. Kiedy nadal nie dawaliśmy za wygraną, przez okno chlusnęła seria z automatu. Szczęściem byliśmy na martwym polu, inaczej zostałyby z nas strzępy. Zaczęliśmy pertraktować ukryci tak, aby nie dosięgnęły nas następne serie. Po dłuższym czasie, po odbytych naradach, wpuszczono nas do środka. Weszliśmy z rękami w górę, oświetleni kieszonkowymi latarkami i obstawieni gotową do strzału bronią. W niesamowicie dusznym pomieszczeniu było 5 czy 6 chłopów uzbrojonych po zęby, ale też i po czubki włosów zalanych. Cudem chyba uniknęliśmy śmierci. Ale nam chodziło o pomoc w złapaniu dezertera. Nasi bohaterowie słuchać o tym nie chcieli. Byli zdetonowani. Owszem przepaszali za incydent, tłumacząc go czujnością i ilością grasujących w okolicy band, ale wyjść na teren – w żadnym przypadku. Podobno takie mają instrukcje. Nie rozumiem. Przecież tam wystarczyłoby wrzucić 2 cytrynki przez okno, a z dzielnych obrońców ładu i bezpieczeństwa zostałyby siekane kołety. Z mętnych wskazówek i wyjaśnień jako tako zorientowaliśmy się w topografii okolicy i zlokalizowaliśmy chałupę Krycha. Rozbudzeni mieszkańcy nie byli zdziwieni naszą wizytą, ale była ona oczywiście bezowocna. Z obowiązku przeszukaliśmy całe obejście. Ojciec dezertera pomstował na syna, na rząd i porządki. Zabraliśmy go ze sobą obiecując wypuścić, gdy syn się zgłosi. Bez oporu ubrał się, pożegnał z rodziną i poszedł z nami. W pewnej chwili zapytał, co to za strzały słychać było od strony posterunku. Odpowiedzieliśmy mu, że nic nie słyszeliśmy, ponieważ tylko co przyjechaliśmy i udaliśmy się prosto do niego. Uśmiechnął się jakoś krzywo i dwuznacznie i rzekł:

– Bo to, panie, u nas nocami różne ludzisko się włóczy i może być przykro, nie wiadomo z której strony.

Stary Krych zakwaterował się u żołnierzy ochrony. Sprzątał izbę, nosił posiłki chłopakom, opowiadał im przeżycia z czasu wojny, palił ich papierosy i strasznie się nudził. Wyskoczyłem jeszcze raz z kilkoma żołnierzami, łudzając się, że drań może – pod nieobecność ojca – będzie pomagał w chałupie i złapiemy go. Ale gdzie tam. Tym razem ominąłem posterunek MO. Wracaliśmy z niczym o pierwszym brzasku. Chłopcy zauważyli, że od strony posterunku, ruszyły za nami jakieś cienie. Rozkazałem żołnierzom rozproszyć się i iść kryjąc się za drzewami. Miałem złe przeczucia. Po drodze do przystanku kolejowego jest niewielki zagajnik. Kiedy opuściliśmy go, posuwając się tyralierą dalej, z tyłu rozległy się strzały. Zapadliśmy gdzie kto był i otworzyliśmy ogień, ostrzelując zagajnik. Po pierwszych krótkich se-

riach atakujący nas cofnęli się w głąb lasu i rzucili do ucieczki. Moi chłopcy poderwali się z zamiarem pogoni, ale powstrzymałem ich. Nas było czterech, a tamtych czort wie ilu. Może w ten sposób usiłowali wciągnąć nas w zasadzkę? Stary Krych pojechał do domu, bo nie było podstawy trzymać go w charakterze zakładnika. Jechał niechętnie. Powiada, że nigdy w życiu tak wspaniale nie wypoczął i nie pojadł, jak u nas. Obiecał, że syna przeprowadzi nam na postrońku. Przekonał się – powiada – że w wojsku jest bardzo dobrze, że ono jest rzeczywiście polskie i żeby tak o niego szło, toby służył w nim przez całe życie. Synalek naopowiadał mu takich okropności o swojej służbie, że był pewien, że to jest piekło, z którego się nie wraca. Zresztą syn – to bandzior – zakończył, ale ja teraz dopiero widzę, jakie jest to nasze nowe wojsko naprawdę. Na odchodnym popłakał się stary. Wierzę, że to było szczere z jego strony i mój niepraworządny czyn przyczynił się do otwarcia oczu nieufnemu chłopu z nadpilickiej wsi. Zobaczmy, czy stary dotrzyma słowa.

Jeszcze raz pojechałem z Romkiem szukać Krycha. Oczywiście bez rezultatu. Stary przyjął nas jak najbliższych. Wyciągnął pół litra i różne wiejskie smakołyki. Wykręciliśmy się od przyjęcia poczęstunku, ale na próżno.

– Wyście traktowali mnie jak człowieka – to i ja nie gorszy. Jesteście porządne chłopcy i ja wam rad jak braciom – prawil.

– A co z pańskim synem?

– Panowie, ja jestem ojcem. Kiedy będzie ta ojcam, wtedy zrozumie mnie. Stacho jest nicpotem i źle skończy, ale ja nie mogę mu być na zdradzie, bo to mój syn.

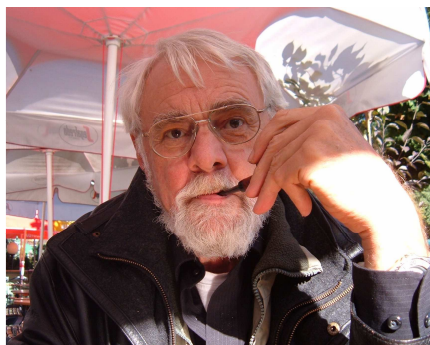
Kwiecień

Zaangażowałem się w naukę z myślą o tym, że na następny rok będę zdawał na polibudę i rozpoczną studia. W ukończeniu ich widzę swoją przyszłość, bo czas chyba najwyższy o niej pomyśleć. Mam 25 lat, obowiązek wobec ojczyzny spłaciłem z nawiązką i mam prawo pomyśleć o sobie, o jakiejś stabilizacji życia. Wojsko dobra rzecz. W mundurze mi do twarzy, dziewczuchy lecą na gwiazdki i medale, warszawski ludek, i nie tylko warszawski, darzy szacunkiem człowieka w mundurze. Rosną, awansują, przybywa krzyży i medali, ale wszystko to wydaje mi się jakiejś przejściowe, nie gwarantujące przyszłości. To temat wielokrotnych rozmów z Romkiem i Gienkiem. Zresztą oni chyba się wkrótce poženią. Jeden i drugi zdaje się wpadli bezpowrotnie. Oni uważają, że ja też wpadłem, ale nie ma głupich.

KONIEC



Zamyślenia



Maska pośmiertna Jerzego Giedroycia (3)

W Paryżu działa od lat Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego. To tysiące uporządkowanych dokumentów, wszystko według wymogów archiwizacyjnych. Zasoby te udostępniane są na różnego rodzaju kwerendy. Tu można znaleźć i wykorzystać dla potrzeby publicystyki zasoby z działów politycznych, kulturalnych, społecznych, a nawet gospodarczych. To cała masa zbieranych przez lata czasopism, wycinków prasowych, publikacji książkowych, w szczególności współpracowników „Kultury”. Warto tu sięgnąć po cenione przez czytelników na całym świecie „zeszyty historyczne”. Zarchiwizowane pozwalają bez trudu znaleźć poszczególne ich numery, ale też ich treści. „Kultura” w PRL-u przeżywała okres odtrącenia, niechęci, a nawet wzgardy. Była zakazana. Każdy jej kolejny numer był rewelacją, bo zawierał prawdę o systemie, o panującym w nim nieporządku.

Wydawcom, w tym szczególnie Giedroyciowi, nie zależało na rewelacjach, na falach mody i uznania. Jemu potrzebne było odosobnienie i samotność twórcza. Był człowiekiem, który nie liczył na sławę. Każdy numer „Kultury” był, musiał być w dobrym gatunku. Niosła to za sobą nazwa czasopisma. Warto byłoby kiedyś pokusić się o indeks wszystkich autorów oraz tematów, które „Kultura” podejmowała.

Publiczny charakter czasopisma czynił ją czymś więcej, niż tylko przekaznikiem informacji: „Kultura” była nie tylko miejscem spotkań Polaków, ale wiązała ona wychodzącą społeczność. Kto nie przeżył uchodźstwa, losów emigranta, ten nie zrozumie jak ważna to była kwestia. Owa łatwo zauważalna determinacja jeżeli chodzi o przekonania polityczne sprawiła, że publikujący na łamach „Kultury” automatycznie stawali się wrogami tamtej Polski.

Pamiętamy, że wówczas na Zachodzie, obok „Kultury” we Francji, ukazywał się „Narodowiec”, w Wielkiej Brytanii „Dziennik Polski”. Mówimy tu o politycznych wartościach, ale nie one określały najważniejsze zadania pisma. Duży był przecież jego wymiar pozapolityczny, czego nie dostrzegli wrogowie. Zapewne oceny „Kultury” będą się zmieniać. Pisał Miłosz: *Śmierć Giedroycia będzie stratą także dla Litwinów, Białorusinów i Ukraińców, gdyż to dzięki niemu nigdy już, miejmy nadzieję, nie zdobędzie przewagi polski etnocentryczny sposób myślenia...*

Kazimierz Ivosse

Nowe dokonania literackie Zygmunta Dekiarta

Zygmunt Dekiert poszerza swoje dokonania literackie o pisanie fraszek, aforyzmów oraz haiku. Jednak wiersze pozostają nadal domeną jego twórczości pisarskiej. Z aforyzmów warte zauważenia są: *Tykanie złotych, Czas to pieniądz, Ukradł zegarek* – kreatywne wykorzystywanie klasycznego aforyzmu; oraz *Nadmiar tlenu, Zbędny klucz do sławy, gdy zamek rdzą przeżarty* – zdystansowana wiedza o wizerunku współczesnej kultury oraz nadmierne wyobrażenie twórcy (o sobie).

Z fraszek na przytoczenie zasługują:

Zaskoczenie

*Czekał na nią w słońcu,
z każdym dniem na nowo.
Doczekał się w końcu.
Przyszła chmurą gradową
(niesymetryczność życia i losu).*

Nienasycona

*Uparcie spragniona erotycznego zysku...
Wyzionął ducha w miłosnym uścisku.
(Potrzeba umiaru).
Niekoherentność... pragnień.*

Z haiku:

*Pęka sprężyna – Potrafić czekać.
Zegar milczy uparcie – Szczęście, radość przyjdą na pewno.
Wszystko ma swój czas – Tylko pozostaje ten drobniak: nie wiadomo kiedy.*

Nowe wiersze Zygmunt Dekiert zatytułował „Wiosenny powiew miłości”. Wiosna nieprzerwanie inspirowała ludzi, nie mówiąc o twórcach sztuk wszelakich. To najbliższa nadziei / miłości pora roku, która jest najbardziej oczekiwana: przynosi zmianę, poprzedza / przygotowuje czas owocobrania. Wiosnę kojarzymy często z początkiem życia. Inspiracją tych tekstów jest przydomowy Ogród autora w Siekierkach Wielkich, który staje się wdzięczną odpowiedzią na trud tworzenia / budowy domu w otoczeniu przyrody. Wiersz (często spotykane uosobienia) chce wstawać, bo przecież już przyszła wiosna ze swoim świtem.

W „Dotyku raj” spotykamy oryginalne przetknięcie:

*Pod dziurawym kapeluszem
stracha na wróble
wystraszone kocham
węża obecnością
do utraty tchu
rozgrzeszenia.*

Móc powiedzieć kocham i nie zagłuszyć siebie, zatem: *Uśmiechnij się do mnie / Wykrzyż wyzwanie grzmiotem wodospadu.* W „Zmysłowej wieczności motyla” znajdujemy trafne stopnie postrzegania rzeczywistości: *Słyszysz / Widzisz / Czujesz.* Rozkołysane są te strofy wyobraźnią poety; lirykę spotykamy w połączeniu / pomieszanej z humorem a nawet z ironią (jak w wierszu „Witaminowe zauroczenie”). *Krótkie trwanie / bliskie przemijania (nie*

tylko motyla), by dotknąć: *Ziemi / Tylko twojej (adresatki tekstów).*

Dobrym lirycznym jest wiersz „Dwa imiona wiosny”, choć skreślenie „u” w wyrazie „utrconych” przydałoby waloru trwania: *Gilotyna uśmiechów traconych dni i by Kochając ciebie / nie nauczę się innego kochania / Tamta wiosna / tobą jedyna / zielonym snem się śni.*

Na identyczną cechę / warunek (prawdziwej) miłości wskazuje Tadeusz Gadacz.

Poeta w wierszu „To ty” przypomina o wadze słów, szczególnie tych wypowiadających deklaracje, osobliwie słowo kocham. Oryginalne metafory zawiera wiersz „Bez wahania”: *Ciemność / ciało pieczęcią odgadywane; Piękno zastęgle / w marmurze zachwyty / niemy wahałem / słonecznego zegara. Błądzimy i znajdujemy, i to kogo? Ty / pośród pszczołach psalmów /- święta.*

W wierszu „Wybór” zupełnie naturalnie zdzierają się wzbogacone antynomie znaczeń: *Niewinność dnia / w słońca krzyku / Na dnie kieszeni nocy / zimne echo milczenia.*

Nikt tak zupełnie nie umiera, a na pewno poeta (choćby znalazł się jeden czytelnik, co przeczyta po latach jego wiersz). Piątą stronę świata nie ma, której pragniemy, podobnie jak naznaczonego oczekiwaniem spełnienia, ósmego dnia tygodnia. Jest natomiast dotyk, ten nieomylny / pewny zmysł: *Nie mogę zgubić dotyku / Na pamięć znam swoje dłonie / Słysz / Widzą / Wypowiadają słowa. Dotyk, który mieści bardzo wiele. Sandały są symbolicznym rekwizytem podróży, w nich jesteśmy bezbronni, szczerzy, pojednani z losem (często spotykamy je na kartach Ewangelii).*

W tekstach Zygmunta Dekiarta słowo wiersz nie tylko staje się zamykającą kodą utworu, a często samoistnym celem: *Zostaniesz kochanką / wiersza; Iskry spod kopyt / w wiersz, a także staje się wybarwieniem, radością spotkania.*

Autor zabawia czytelnika, gdy przywołuje oryginalne konteksty znaków interpunkcyjnych w wierszu „Interpunkcja przeżywania”, który kończy słowami: *Dla ciebie / uciekam w ciszę wiersza / wielokropkiem marzenia.*

Chce zmienić panującą sytuację: by nasza kultura nie była jedynie ze szkoły a bardziej z zabawy (jak np. francuska). Zmieniają się symbole wielkocenne: *Spod między / zające – króliki, gdzieś we współczesnej komercjalizacji zagubił się Baranek.*

Najnowsze wiersze Zygmunta Dekiarta są widomym dowodem doskonalenia warsztatu twórczego. Humor, a nawet autoironia, stają się środkiem zobiektywizowania postrzeganej przez poetę rzeczywistości.

Paweł Kuszczynski



KOZETKA (10)



Biała dama

Żadna kobieta nie powiedziała nigdy całej prawdy o swoim życiu.

Isadora Duncan

JOANNA FRIEDRICH

Kiedy budzę się z niektórych snów, dochodzę do wniosku, że czasem więcej jest w nich smaku, niż w życiu, są bardziej esencjonalne.

Dzisiejszy sen miał miejsce w karecie jadącej przez jarański park, drogą od nagrobka Johanna von Radolin do Skarbczyka. Przejeżdżałam pod wiszącymi mostami, po których jechały białe konie zaprzęgnięte do czarnych karet. W trakcie jazdy podjęłam decyzję, że kupię choć dwukołówkę.

Czy ten sen oznacza, że Johanna chwilowo mnie nawiedziła, czy mam o niej napisać więcej?

Myślę, że mieszka we mnie (lub puka do mnie) więcej dam i każda chce, aby o niej opowiedzieć...

Zamki i pałace często mają swoje tajemnice, swoje historie, duchy przeszłości.

Prawdziwa Biała Dama mieszka podobno na Zamku w Kórniku i pokazuje się tylko czasem.

To samo dzieje się z samym pojęciem "dama". Pojawia się już tylko czasem.

Sztuka bycia damą odchodzi w zapomnienie.

Niektóre kobiety, które kiedyś były skandalistkami, dziś postrzegane są jako damy.

Dziś mały skandal, to rzecz wręcz nieuchronna. Kiedyś aktorki stały na drabinie społecznej o szczebel wyżej od prostytutek –

dziś są gwiazdami, święcącymi przykładem na cyfrowym firmamencie, nad współczesnym społeczeństwem. Kiedyś na festiwalach filmowych święciły triumf aktorki, dziś robią to modelki. W dobie społeczeństwa obrazkowego liczy się avatar, obraz, jaki stworzysz w Internecie. I forma: jaką zaprezentujesz na czerwonym dywanie. Przypomina to przeskok od królowania radia do królowania telewizji, kiedy przystojny John Kennedy wygrał wybory prezydenckie, w dużej mierze – dzięki swojej powierzchowności.

Różne damy przychodzą mi do głowy, z różnych względów. Czy dam przybywa, czy ubywa z latami?

Standardy z czasów Białej Damy już dawno zostały wyczerpane.

Co współcześnie decyduje o byciu damą? Co jest materiałem na ikonę?

Frida Kahlo, Josephine Baker, Marlena Dietrich, Amelia Earhart, Elsa Schiaparelli, Catherine Deneuve, Monica Bellucci, Nicole Kidman, Tilda Swinton...

Wymieniam pierwsze z brzegu kobiety, które mnie inspirują.

Gdzie mieści się Ta Magia i skąd pochodzi? Co należy naśladować i czym się inspirować?

Otóż, nawet po rozłożeniu na czynniki pierwsze, ciężko prześledzić ten proces.

To jak uzyskiwanie złota w procesie alchemii.

Przecież Catherine Deneuve (tak, jak zresztą Beata Tyszkiewicz) nie rozstaje się z papierosem, Frida Kahlo pozwalała na zdradę swojemu mężowi, Diego Rivierze, a Marlena Dietrich całe życie była na drakońskiej diecie, podczas której przez jeden dzień jadła, a przez następny głodowała.



Zasada pierwsza: Damy mają wady.

Zasada druga: Damy przekuwają wady w atrybuty akceptując je.

Zasada trzecia: Jeśli kochasz i akceptujesz siebie, ułatwiasz to otoczeniu.

Zasada czwarta: Pielęgnacja ducha prze-

kory jest jednocześnie dbaniem o poziom inteligencji.

Zasada piąta: Żyj z duchem czasu i realizuj marzenia.

Zasada szósta: Pomagaj innym.

Zasada siódma: Ciesz się życiem. Carpe diem.

Jest to swobodny spis zasad, którymi wyżej wymienione panie się kierowały i kierują, co wynotowałam z biografii, które czytam namiętnie.

Śmieję się w duchu, bo odkąd pamiętam, uwielbiam wszelkie listy, świetnie zapobiegają nudzie. Wystarczy na taką spojrzeć, od razu masz parę rzeczy do zrobienia. Lub możesz sobie z nudów czegoś poprzestrzegać dla odmiany. Pisanie ratuje pamięć krótkotrwałą.

Słaba pamięć to błogosławieństwo, podobnie, jak słaba płęć.

cdn.



Przeciw literatom...

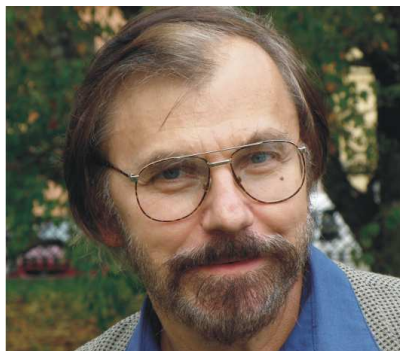
(Dokończenie ze strony 9)

Istnienie literatury alternatywnej w obrębie literatury amerykańskiej stosunkowo szybko zostało zauważone przez tamtejszych czytelników. A przynajmniej przez znaczną ich część, szczególnie młodych. To fakt, że sprzyjały temu ruchy społeczne dające o sobie w latach 60. i 70. ubiegłego wieku, skierowane przeciw obowiązującym dotąd normom/zasadom/kanonom itd. Sprzyjała temu niewątpliwie także zdecydowanie większa niż obecnie rola słowa drukowanego. A mniejsza jego rola po 1989 r. w Polsce (zjawisko zresztą prawie ogólnoswiatowe), zaowocowała między innymi ograniczeniem rynku książki, jak też czytelnictwa książek. To zaś wpłynęło w sposób zdecydowany na to, że literatura umownie nazywana przeze mnie alternatywną, a powstająca w naszym kraju za sprawą pieniędzy jej autorów, nie może (wciąż) zaistnieć w szerszych kręgach czytelniczych. A nie może, gdyż do owych kręgów, po prostu, nie dociera.

Na koniec przytoczę, jako rodzaj krótkiego podsumowania, wyimek z *Dziennika* Jana Józefa Szczepańskiego: „Być naprawdę pisarzem – to móc nie wydawać, jeśli okoliczności są przeciwne temu, co ma się do powiedzenia, ale niezłomnie wierzyć, że to powiedziane być musi”.

Dariusz Pawlicki

Listy do Pani A. (95)



Bajka i rzeczywistość

Droga Pani!

Choć aż tak dobrze nie znam Pani, to jednak intuicyjnie przeczuwam, że jest Pani osobą o bogatej i oryginalnej wyobraźni. Dlatego dzisiejszy List potrosze utrzymam w konwencji bajkowej, choć – jak wiadomo – najbardziej realna rzeczywistość jest kanwą, na której buduje się świat, wydawałoby się na pierwszy rzut oka fantastyczny.

Oto jesteśmy w pewnym, położonym za górami, za lasami królestwie, którym rządzi złośliwy gnom, (choć tak naprawdę nie ma do tego legitymacji), przy nim zidiociały czarownik, rycerzyk psychopata i cała zgraja trolli, które już dawno sprzedają swoje niekompletne umysły, niekiedy za duże pieniądze (wyłącznie w tym handlu zachowały pewną bystrość). I teraz ta cała „elita” myśli tylko, co tu rozobrać, zniszczyć, skopać. Gryzie się o to, kto będzie z kolegów-skrzatów najlepszym kierownikiem od skopania, ministrem od niszczenia; kto stanie na czele ministerstwa demontażu i absurdu. Niby wszystko jest w porządku, lud udaje, że niczego nie zauważa, a jednak codzienność staje się dotkliwa i głupia, choć się do niej można przyzwyczaić, a często polubić. Nawet kiedy weszłyby w życie wszystkie chore pomysły krasnoluda, który pozbył się mózgu wraz z rozstrojem żołądka.

Mieszkamy zatem w tej pięknej krainie absurdu. Proszę sobie teraz wyobrazić, że chce Pani udać się w podróż, i prosi w dworcowej kasie bilet na „Światowida”. A tam mówią, że nie ma takiego pociągu, że w ogóle to satanistyczna zgroza wymawiać takie imię. W tamtym kierunku jeździ wyłącznie „Litania”. Wracać można „Nowenną”. Ktoś, kto spyta o „Aurorę”, dowie się, że takie paskudztwo już od dawna nie istnieje. Teraz pośpieszny nazywa się „Jutrznia”. Pod „Gombrowicza” podłożono minę, a „Broniewskiego” zastąpiono „Bełzą”. Też na „b”, ale za to jaki wydzięk wychowawczo-polityczny! Nie mówiąc o walorach literackich. Kapitałne zmiany!

Jedziemy zatem w kierunku Wielkiej Puszczy, by trochę odpocząć, oczywiście pośpiesznym „Łysolem”, bo inne od dawna w tamtym kierunku nie kursują. A tam zastajemy tylko Wielką Porębę, na której nawet szyszyki nie pozostały.

Może więc pojeździć trochę na koniach? Zaraz zaraz, tu była stadnina. A co to jest? Podchodzimy bliżej, a tam cały szereg końskich jatek. Dla poprawności politycznej kupujemy dwadzieścia deka tataru.

Wracamy do domu, i zaczynamy błędzić we własnym mieście. Zamiast na ulicy Przyboisia

znajdujemy się ni stąd ni zowąd na Św. Polikarpa. Nikt nie wie, kto to był, ale ponieważ „św.” to z całą z pewnością nie obrzydliwy komuch, jak jakiś tam Przyboś, o którym w czasach złych uczyli się wszyscy niesłusznie, że „wielkim poetą on był”. Ulicę Śliwiaka zamieniono na Czeresniaka, ale zaraz potem ktoś doszedł do genialnego wniosku, że taki facet był jednym z bohaterów niesłusznego serialu, więc trzeba znowu to zmienić, najlepiej na Królowej Czyściochy. Brzmi to swojsko i patriotycznie.

A nad miastem kołują ptaki, mewy (prze)śmieszki oraz wystrzychnięte dudki, dzieciocy w czerwonych czapeczkach, śmieciuszki zwane również dzierlatkami. Byłoby pięknie, gdyby nie te dzieciocy... Idziemy nowymi ulicami trzymając się za ręce, bo to jeszcze jest od biedy dopuszczalne, jako „miękką pornografia”, choć w dawniejszych latach było bardzo popularne. Prawda, że ładna bajka? Mam nadzieję, że zbytnio nie zatrzwożyłem Panią na dobranoc.

Niestety realna rzeczywistość też nie jest wesoła. Jak obuchem w głowę uderzyła nas smutna wiadomość. Już przyrzekałem sobie, że nie będę pisał do Pani o przykrych sprawach, przynajmniej przez jakiś czas, ale o tym nie mogę nie wspomnieć. Jak grom z jasnego nieba spadła wiadomość o śmierci Marii Czubaszek.

Są ludzie, o których myśli się, że będą żyli wiecznie. Dopóki trwają z nami stanowią jakby „potwierdzenie” i naszej nieśmiertelności. Kiedy jednak odchodzą, pozostajemy osamotnieni w swoich niepokojach. Maria Czubaszek, osoba niezwykła, obdarzona poczuciem humoru, zdystansowana wobec rzeczywistości, jak mogła nam to zrobić! Teraz i my za nią pójdziemy. Tak, są tacy ludzie wrośnięci mocno w nasze życie i wyobraźnię, choć w nim nie uczestniczą fizycznie. Przynajmniej ja mówiam takie odczucia, nie wiem czy i Pani również.

Z panią Marią pracowałem kiedyś w redakcji „Szpilek”. Pamiętam taki incydent: oto zatrzasnęły się drzwi wejściowe do redakcji, która mieściła się w Warszawie przy Placu Trzech Krzyży. Z ulicy wchodziło się przez te drzwi podobnie jak do sklepu. Był tam duży hall, z niego dopiero prowadziły schody do pomieszczeń redakcyjnych. Kiedyś pani Maria wychodząc z redakcji śpieszyła się, a tu drzwi nie dały się za żadne skarby otworzyć. Wtedy przyszedłem jej z pomocą. Otworzyłem okno przypominające niską witrinę sklepową; trzeba było tylko sforsować niewysoki parapet. Ale i to okazało się dla niej przeszkodą nie do przebycia. Wylazłem więc sam na zewnątrz, i stojąc już na chodniku wyciągnąłem panią Marię z pułapki. Dobrze, że była malutka i lekka.

Kiedyś spytałem ją, czy może jest Chinką. „Nie, dlaczego?” – zdziwiła się proslolinijnie. „Bo pani ma takie nazwisko Czu Ba-szek”. Fonetycznie nawiązywało to do nazwiska chińskiego przywódcy i prezydenta Czang Kaj-szeka. Bardzo się to jej spodobało.

A teraz żal, pustka, egzystencjalne refleksje, które i Panią też zapewne nachodzą, jako wrażliwą, myślącą osobę. Ale humor, żart, nadzieja nie umierają nigdy. A w tym roku już tyłu odeszło wybitnych artystów. Czyżby i w zaświatowym ministerium kultury też zmieniła się ekipa?

Pisałem już dużo wcześniej o „Szkłanej kuli” Krystyny Koneckiej. Przypomnę Pani, że jest to album malarstwa Wojciecha Weissa oraz Aneri, żony artysty. Album ten inkrustowała swoimi sonetami Krysią. Podziwiałem reprodukcje obrazów oraz niezwykle wiersze Krystyny. I co za zbieg okoliczności: będąc we Wrocławiu trafiłem

w Pałacu Królewskim, gdzie mieści się Muzeum Miejskie, na wystawę zatytułowaną „Arcydziela malarstwa polskiego XIX/XX w. Między innymi było tam kilka obrazów Wojciecha Weissa. Miałem więc okazję z bliska się przyjrzeć oryginałom, kontemplować je, zachwycić się ich pięknem i precyzją, której w całej pełni nie jest w stanie oddać żadna reprodukcja. Szczególny nastrój potęgowało oświetlenie. Z pewnością by się to Pani bardzo podobało. Ale... Znowu – jak wiele razy – odnosiłem wrażenie, że Pani wraz ze mną ogląda tę ekspozycję, tylko dyskretnie ukryta w cieniu. A może istotnie tak było?

A w Domu Literatury poetyckie przedstawienie na podstawie poematu Eli Musiał „Piszę pochyloną cambrią”. Mamy tutaj na Krakowskim Przedmieściu Scenę Domu Literatury, na której odbywają się różne spektakle. To był bardzo ciekawy performance. Wystąpiła sama poetka oraz Barbara Wrońska i Szczepan Wroński. Pięknym śpiewem zachwycała Marzena Trzebińska, a grą na akordeonie Lech Skawiński. Było to spotkanie oryginalne. Okazuje się, że tego typu niekonwencjonalne działania świetnie potrafią wyeksponować poezję, podkreślić jej charakter, działać na wyobraźnię słuchaczy silniej niż tylko sama recytacja wierszy, choćby nawet najgenialniejsza. I znowu miałem wrażenie, że Pani siedzi na sali, słucha. I choć nie dostrzegłem znajomej sylwetki, to czułem tę „obecność nieobecna”, że pozwolę sobie zacytować sam siebie.

Niech Pani tylko nie myśli, że czytuję wyłącznie własne teksty. Niedawno skończyłem lekturę świetnej powieści Grzegorza Kozery „Królki Pana Boga”. To chyba najlepsza książka tego pisarza. Pokazuje dramatyczne losy trojga Polaków przedzierających się, tuż po formalnym zakończeniu wojny, do kraju z Niemiec, dokąd za okupacji byli wywiezieni do morderczej pracy. To świetne studium psychologiczne ludzi walczących o przetrwanie w zwierzęcych, ekstremalnych warunkach, każdego dnia narażonych na okrutną śmierć, niewyobrażalny głód i cierpienia, a przecież zachowujących w sobie ludzkie odruchy. To bardzo trudne, bo jednak instynkt samozachowawczy odpowiada różne, dalekie od etyki, rozwiązania. Myślę, że gdybyśmy w takich warunkach wędrowali oboje, to jednak raczej bym Pani nie zjadł... Powieść znakomita, wstrząsająca, okrutna, prawdziwa od strony psychologicznej.

Przeczytałem także powieść Ireny Paździerz „Trauma Ewy” o wewnętrznych przeżyciach kobiety, którą zgwałcono. Bohaterka z wielkim trudem odbudowuje swoją psychikę, usiłując pozbyć się ciężkiej traumy, zacząć na nowo patrzeć na życie.

Kozera i Paździerz należą do kieleckiego środowiska literackiego. Ich twórczość wydatnie wzbogaca panoramę „kieleckiej” literatury. Nie przypisujemy jednak literaturze etykietek „geograficznych”. To przecież, obiektywnie rzecz biorąc, świetne książki w skali ogólnopolskiej. Polecam je Pani gorąco i pozdrawiam jak najserdeczniej!

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



Limanowskie reminiscencje...

I znowu w Limanowej. Na „Poetyckich Ogrodach”. Zaprosił mnie Marek Jerzy Stepień, poeta, organizator, „spiritus movens” tego przedsięwzięcia... Zresztą wszędzie tam, gdzie teren jest przynajmniej lekko pofałdowany, jeżdżę z największą przyjemnością. Wyjazd o czwartej rano może nie jest zbyt zachęcający, ale piękny wschód słońca nad usianą mgłą podpiotrzkowską łąką wynagrodził wszystko. Podróż była przyjemna, bo pogoda pozwalała na delectationem się wiosennymi pejzażami.

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

To był bardzo udany wyjazd. Dużo pięknych wrażeń. Chociaż jestem już zmęczony licznymi podróżami, to są ludzie i miejsca, do których jedzie się z wielką przyjemnością. Beskid Wyspowy zawsze do takich należał, tym bardziej, że tam zawsze można odkryć coś ciekawego... A na miejscu? Spotkania ze starymi znajomymi: Kazikiem Burnatem, Eligiuszem Dymowskim, moim krajanem Kazikiem Świegocim, Ignacym S. Fiutem, czy Tadzkiem Basiągą. A do Tymbarku dotarła mocna ekipa z Krakowa: Beata Anna Symoń, Magda Węgrzynowicz-Plichta, Joasia Rzodkiewicz, Danusia Berska, Alicja Tanew i wielu innych. Z Nowego Sącza Joasia Babiarz z mężem Januszem Szotem. Wreszcie był czas na liczne rozmowy, takie, jakich nie ma, albo które zdarzają się niezbyt często. Więc przestało być tak samo, jak co dzień – już nie monotonnie... bo cieszyły nas wielkie ze zdziwienia oczy świata...

Nie wiem, jak to się dzieje, ale rozumiemy się, jak mało kto – w pół słowa. Nie obrażamy na często ostre żarty. Po prostu lubimy przebywać w swoim towarzystwie. Wiem, że to rzadkie dzisiaj... Bo „Poetyckie Ogrody”, to festiwal jakże

różny od pozostałych. Jest mnóstwo czasu dla siebie. Nikt nikogo nie goni, spotkania spokojne – jakby czas zatrzymał się w jakimś szczególnym miejscu...



Foto: Antoni Berski

Spotkanie z uczniami gimnazjum w Starej Wsi.

Pogoda w tym roku dopisywała, więc można było udać się na wycieczkę na szczyt Mogielicy, skąd rozciągały się cudowne widoki na okoliczne góry, a nawet – przy sprzyjającej pogodzie – na Tatry. I my mieliśmy to szczęście...

Ale tegoroczne „Poetyckie Ogrody” to nie tylko Marek J. Stepień. Pomagał mu – doskonale prowadząc wszystkie spotkania – Marek Dudek, człowiek wyjątkowy – taternik, autor filmów o tematyce górskiej, a przede wszystkim wspaniały człowiek. Wybudował sobie letni dom w górach, skąd rozciągają się widoki na Beskid Niski – to miejsce cudowne, wręcz magiczne...

Takie podróże mocno budują, utwierdzają nas w przekonaniu, że chyba z tym naszym światem nie jest jeszcze aż tak bardzo źle, że przyjaźnie, oparte na zaufaniu, przetrwają naprawdę wiele.

Marek Jerzy Stepień napisał smutno w tegorocznym almanachu, wydanym z okazji festiwalu: *Gdy w zeszłym roku o tej porze pisałem wstęp do Almanachu XII „Poetyckich Ogródów”, nie przewidywałem zmian dojrzewających za horyzontem zdarzeń. Wypłynęły ciemnymi chmurami tuż przed naszym ubiegłorocznym spotkaniem. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że będzie ono ostatnim w placówkach kulturalnych Limanowej. Dziękuję Bogu i władzom miasta za dwanaście edycji „Poetyckich Ogródów”. Nie będę dociekał, dlaczego tak się stało, że odmówiono naszej Imprezie miejsca w miejskim kalendarzu imprez kulturalnych. Nie odpowiem też na zadane mi wówczas przez burmistrza pytanie: „co będzie mieć Limanowa z organizacji »Poetyckich Ogródów«”? Chcę opuścić zasłonę milczenia nad rozlewającą się rzeką przemian, która nie ominęła naszego miasta. Nie będę też nazywał naszych spotkań imprezami, bo o co innego tu chodzi. Mam nadzieję, że dwanaście majowych, poważnie słonecznych, dni, gdy zśliśmy ku sobie łąkami poezji, wyrzeźbiło w pamięci uczestników kaniony pięknych chwil i radości. (...)*

Słońce i zielen są atrybutami maja. Unoszą nas w rejony odległe od twardej materialnej rzeczywistości, od codziennych zmartwień i uwikłania w walkę o przetrwanie. Niech dzisiaj będą z nami jak najdłużej. Może uda się przemierzyć jeszcze jeden szlak w gronie otwartych, radosnych ludzi, ucieszyć słowem rzucającym blask? Czy nie jest to przedświec Nieba, odbitego w naszych oczach?

Po tych słowach Markowi tym bardziej należą się słowa uznania, że potrafił podjąć ten trud i udało mu się zrobić imprezę, która nie przechodzi bez echa, tylko powoduje, że chce się nam zastanowić nad tym, że warto robić coś dla innych, żeby samemu spełniać się pod każdym względem. Przecież nic nie dzieje się samoczynnie, a rozmowy w gronie ludzi zaprzyjaźnionych dają nadzieję, że może nie jest jeszcze aż tak źle. Również dzięki takim dysputom człowiek czuje się znacznie lepiej, bo nie ma w nich banałów, okrągłych zdań, efektownych popisów erystycznych, jest za to – czasami wstydliwie hamowana – chęć podzielenia się emocjami.

Ludzie na festiwalu byli wspaniali. W ogóle nie było między nimi różnic lub były niewielkie; przynajmniej w fundamentalnych sprawach. Naprawdę, wielką przyjemność sprawiała mi obserwacja różnych powierzchowności i charakterystycznych ich kulturowych cech... Szkoda tylko, że – wraz z globalizacją – ludzie młodzi, stają się nie do odróżnienia. Nie ma w nich cech indywidualnych... Wielka szkoda...



Uczestnicy festiwalu przed biblioteką w Tymbarku.

A bycie poetą? No, cóż. Pomaga mi lepiej zrozumieć intymne zasady, na jakich działają i same wiersze, i sposób, w jaki funkcjonują poeci. Poezja pomaga żyć, bo ma ona zawsze jakieś swoje źródło... Tworzy go życie. U jednych jest to głębokość widzenia i rozumienia, zdolność przeżywania, umiejętność odczuwania cierpienia. Najczęściej – niestety – źródłem jest cierpienie. U wielu z wiekiem źródło poezji wysycha. „Cóż po poecie w czasie tak marnym?” – pytał Martin Heidegger. Pewne jest, że przecież wszyscy rodzimy się poetami, ale mało kto poetą umiera...

W świecie zdominowanym przez elektroniczne środki masowego przekazu, rozmowa z drugim człowiekiem staje się jedną z najbardziej pożądanymi potrzebami. Gonić za nowoczesnością i pieniędzmi okazuje się mało ważna dla coraz większego grona odbiorców kultury. Pewnie, że bez pieniędzy trudno żyć, ale nie mogą być one wartością samą w sobie...

Z Limanowej wracałem do domu pełen emocjonalnego napięcia i z nadzieją, że nasze wspólne, literackie rozmowy, nie są chyba takie bezsensowne...



JÓZEF BARAN

Spadając, patrząc w gwiazdy (3)

(fragmenty)



Portret rodzinny z psem

Przedemną w tramwaju rozmawiają, a właściwie przekrzykują się z zawziętym wyrazem twarzy: starszy pan, chyba mocno znerwicowany, i starsza pani o wyglądzie zasuszonej choleryczki. Nie zważają na otoczenie. On trzyma na ramieniu i głaszcze psa rasy nieokreślonej. Pies się oblizuje i uśmiecha do wszystkich; wygląda na jedynego szczęśliwego w tym trójkącie małżeńskim. Przez chwilę mam nawet nieodparte wrażenie, że to piesek na ramieniu pana jest jego wybranką życia.

Co pan warknie – pani odwarknie, co pani odwarknie, to pan warknie. Pies nie warknie, pies młynkuje ogonem.

I tak w kółko...

Tramwaj zarzuca na zakrętach...

Widać gołym okiem, że się nie lubią, i to z całego serca. Skazani na pożycie na wieki wieków amen – rekompensują sobie wieloletnią niewolę obrzucaniem się pretensjami do siebie, losu i świata. I z tymi wzajemnymi pretensjami malującymi się na umęczonych obliczach jadą w odwiedzinę do córki i wnuczków, przykuci do siebie jak galernicy łańcuchem kilkudziesięciu lat małżeństwa.

Pies jest z nich najbardziej wolny i chyba najbardziej kochany. Trudno się dziwić. Nie wiedząc, co czynić z uczuciami, które – nie używane – bezpowrotnie w nich kwaśniejają, prześcigają się w ich okazywaniu i świadczoności przyjacielowi, który oblizuje się i uśmiecha do pasażerów tramwaju.

Znieculico

... A teraz o złych psach.

Moja znajoma z podkrakowskiej Psiej Wólki opowiada, jak została zaatakowana

przez psa, którego właścicielem jest pijak-sąsiad.

Wielki czarny brytan przewrócił ją od tyłu i tylko refleks pozwolił jej wyjść z zajścia cało, choć z pokąsaną ręką.

Pijany sąsiad, który – jak się okazało – z psem sobie już dawno nie radzi, skrył się w szopie.

Okazało się też, że zajście obserwowała przez okno kobieta z dzieckiem na ręku. Mało tego! Świadcami były również trzy mieszkające w sąsiedztwie kobiety, które wiedząc o psie rozbójniku, nie ostrzegły przechodzącej, lecz z ciekawością czekały na dalszy rozwój wypadków: czy pies ją poturbuje, czy da jej spokój, na tej zasadzie, na której kiedyś grało się w szkole w okręty i wołało: „trafiony, zatopiony!”.

Smaczku zdarzeniu przydaje fakt, że czarny pies już parę razy zaatakował osoby przechodzące drogą i kilkakrotnie trzy kobiety miały przyjemność oglądać to jak film kryminalny, aby potem mieć o czym gadać.

Znajomej – która zastanawia się od wczoraj, czy pójść na policję i zgłosić wypadek, a więc postąpić niezgodnie z polskim niepisany kodeksem solidarności sąsiedzkiej, czy też przymknąć oko i nie wchodzić w konflikt ze zdegenerowanym sąsiadem – śnił się potem nie tylko lew brytana i jego kły, lecz trzy psie-kobiece łby z wyszczerzonymi kłami, obserwujące przydrożną scenę prawie z wywieszonymi językami.

Po dziewięćdziesiątce jestem alkoholikiem

Dziś po południu odwiedziłem w Domu Pogodnej Jesieni przy ulicy Helców wybitnego pisarza, 92-letniego Juliana K.

– Masz tam coś? – pyta Julian.

– No pewnie – mówię i wyciągam manierkę z drogocennym płynem.

– Po dziewięćdziesiątce stałem się alkoholikiem, ale umiarkowanym – śmieje się i konspiracyjnym gestem przywołuje najbliższego sąsiada, Marka, staruszka na wózku inwalidzkim, któremu też każe nalać do kubka żołądkówkę.

Oczywiście musieliśmy uważać na kręcące się w pobliżu pielęgniarki...

Twarz Juliana jest gębusią siedemdziesięciolatka, bez zmarszczek. On sam słabo słyszy, ale dzisiaj ma jasny umysł – co nie jest regułą, bo niekiedy nie rozpoznaje odwiedzającej go córki – a nawet od czasu do czasu, leżąc na łóżku, raczy nas na przegryzkę swoimi przemyśleniami. Zastanawia się: – Kochaj bliźniego swego jak siebie samego... Przecież gdybyśmy się stosowali tylko do tego jednego przykazania, całkiem by to wystarczyło: nie byłoby wojen, nie byłoby krzywd na świecie. Ale czy to możliwe do spełnienia? – zamyśla się sceptycznie. – Chodzi mi po głowie taka myśl, którą chciałbym kiedyś spożytkować

literacko, choć nie wiem, czy jeszcze coś potrafię... że ten, kto pomaga drugiemu w jego nieszczęściu i przez jakiś czas współdziała z nim krzyż, może być dzięki temu sam szczęśliwy...

Po chwili jednak dodaje, że nic już nie pisze i nie czyta. I coraz słabiej słyszy i widzi. Żartuje, że znowu jak za czasów dzieciństwa we Wrzawach jest analfabeta. Czeką na obiad, na kolację, z tym i tamtym pogada, ot wszystko. – Co napisałem, to napisałem, więcej nie muszę... Moje powieści były przetłumaczone na 20 języków... Zostawiam teraz miejsce innym... młodszym, tobie...

Od paru lat ma problemy z panewkami, które nie produkują niezbędnego płynu-mazi. Źle stąpnie, źle jest podtrzymany i już cierpi, nie mogąc się poruszać. Dlatego córka jedy-naczka zdecydowała się oddać go tu, gdzie ma fachową poradę. Spadł na nią obowiązek opieki, z którym nie umie sobie sama poradzić, bo większą część dnia spędza w pracy na uczelni i nie jest w stanie poświęcać ojcu tyle czasu, ile należałoby; zresztą nie umie tego robić; parę razy źle go podźwiignęła i w konsekwencji cierpiał.

Nie rozumieją tego krewni odwiedzający Juliana. Obrzydają mu, jak umieją, pobyt.

Po jednej z wizyt ojciec poskarżył się córce: – Wydawało mi się, że jest mi tu dobrze, a teraz po ich odwiedzinach straciłem w to wiarę.

Miesięczny koszt pobytu w tym domu – 2500 złotych. Julian stosunkowo nieźle się czuje wśród pensjonariuszy, umie z nimi rozmawiać, jest lubiany, znany, czytane są przez głośnik fragmenty jego powieści, a na stoliku leży dyplom i piękna statuetka dla „wybitnego obywatela Rakbi”, którą otrzymał od burmistrza tego miasta.

Mimo wszystko... smutno mi, Boże...

* * *

Czym wobec tego jest ta czasoodporną dusza, czyli siła, która nas ożywia, zasada, która wprawia ciało w ruch; prąd, który powoduje, że świeci ono istnieniem; program specjalnie dla każdego z nas (przez kogo? – przez prawa natury, ewolucji, Boga?) skonstruowany i zainstalowany w komputerze mózgu?

W całodziejnej interdyscyplinarnej konferencji w Auli Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego – w łowach na nieuchwytnego sprawcę życia – wzięli udział filozofowie w sutannach (ksiądz profesor Michał Heller i ksiądz profesor Janusz Mączka), świeccy eksperci od mózgu (profesor Jerzy Yetulani) i najnowszych wynalazków techniki (profesor Ryszard Tadeusiewicz), a także znawcy ludzkiej psychologii (profesor Dominika Dudek); wszyscy za pośrednictwem swoich referatów usiłowali zlokalizować „to”, co nieuchwytnie.

Na ścieżkach miłości

Dorota Lorenowicz pisze ciekawą prozę, ale i równie interesującą poezję, w której najbardziej ekscytują ją stosunki między kobietą i mężczyzną, szczególnie połączonych więzami małżeństwa. W swym wyborze wierszy z lat 1996-2015 pt. „Pomiędzy Tobą a mną” wpisuje relacje damsko-męskie w głęboki kontekst codzienności, postrzegając w tym układzie kobietę jako istotny element przyrody, który pozwoliła sobie nazywać „spóźnionym świtem”. Mężczyznę widzi jako mikrokosmos we wszechświecie, który jakby rozwija swoje skrzydła i potencje w oparciu o makrokosmos kobiety. Mężczyzna jest jednak kobiecie niezbędny. Kobieta bowiem widzi w nim pewne konieczne wsparcie, bo przecież może: „ułożyć twarz / w zagłębieniach między szyją i ramionami / i przestać istnieć dla spraw, które są na zewnątrz”, by w ten sposób chronić się przed szarością codzienności, ale i stworzyć z nim „dwubieg krwi”. Wszechobecny Eros – usilnie podkreśla poetka – pozwala obojga „pójść razem w zapomnienie”, by rozkoszować się wzajemnie „afrodyzakami” szeptów. Ale Lorenowicz uważa również, że mężczyzna dla kobiety – to „komfortowe wyposażenie łóżka”, bo bez niego trudno kobiecie znaleźć w nim „przypoite miejsce”. Jako istota drobiazgowa studiuje jego anatomiczne elementy: nadgarstek, stopy, uda, brzuch, tors, ręce i to „coś więcej”. Podkreśla, że kobieta dla mężczyzny jest „tratwą ratunkową”, scalająca dwojga w jedno pełne jabłko rozkoszy. Obydwoje stanowią jakby środek i przekrój kosmosu, uczestniczą w cudzie stworzenia nowego życia.

Jednak między kobietą i mężczyzną toczy się nieustająca walka – podkreśla poeta – o wielkość własnego ja, budowanego siłą ja „przeciwnika”, przeplatana smutkiem, kłamstwem i obojętnością. Dobrze tę dynamikę, ale i dialektykę uczuć oddaje utwór pt. „Moje siedem światów”, w którym czytamy: „Mam z Tobą siedem światów! / Nie siedem, sześć. / Ten siódmy, tylko mój / jest ucieczka od Ciebie. // W tym tylko moim świecie, / jak w rosyjskiej Matriosce / są jeszcze inne światy. / Otwieram je, dotykam / noszę w sobie / i usiłuję obłaskawić. // Zamykam w nich / na skoble przezorności. / Skulona, najdalej od okien i drzwi / czekam, / aż w świecie na zewnątrz / poukładasz i dopasujesz do siebie / porozrzucane klocki lego / swej osobowości.”

Poetka w kolejnych wierszach podkreśla, że związek dwojga to walka o przestrzeń między nimi, szczerłość, amplitudy miłości, ucieczki i amnezje, lęki przed obopólnym zawłaszczeniem, konsumowaniem pustki nieobecności. Miłość jawi się więc Lorenowicz jako nieustanna gra porażek, sukcesów, upokorzeń, przeplatanych wspomnieniami znaczących zachowań, miejsc, gestów, dotyków, uśmiechów, ale i grymasów.

Poetka w dalszych partiach tomiku kon-

sekwentnie dokonuje wiwisekcji własnych emocji, konstruując atrybuty męskości partnera, szuka jednocześnie dróg powrotu do źródeł siły wzajemnej miłości, jej kolejnych resetów. Wie bowiem, że z latami związek się zużywa, zmieniają się uczucia łączące partnerów, a więc sugeruje, że należy go ciągle odnawiać, by prawda emocji dalej łączyła obojga. Chce to pokawałkowane uczucie, dzielone na kwanty kolejnych uczuć, ocalić na różnych poziomach organizacji ich wzajemnego świata, który ciągle jest nienasycony i domaga się kolejnych spełnień, być może nawet w porządku wiecznym, a może i kolejnych reinkarnacjach. Aby oswoić męczyznę poetka daje takie oto rady: „(...) Wszczepić (jak nerkę) / wyrozumiałość dla potomstwa, / cierpliwość dla seniorów / i wyobraźnię, która podpowie: / „Cóż może się zdarzyć jeśli...?” // Dłatego Kobiety wymodliły / u Stwórcy reinkarnację”.

No cóż, tomik ten – to kawałek dobrej poezji, prawdziwej, nacechowanej nowatorską i rzetelną metaforą, która nie tylko budzi emocje, ale daje do myślenia. Warto do niego zaglądać, by zrozumieć, że nic nie trwa wiecznie, a jedynie żywienie miłości może właśnie ku marzeniom o wieczności przybliżyć. Jednak warto też zapamiętać, że ta miłość musi być obopólna, by była twórcza i budująca.

prof. Ignacy S. Fiut

Dorota Lorenowicz, *Pomiędzy Tobą a mną. Wybór wierszy z lat 1996-2015*. Przedślowie autorki, posłowie: M.E. Aulich. Wydawca: Krakowski Oddział Związku Literatów Polskich, Kraków 2015, s. 68.

Podglądanie własnego świata w czasie

To piąty z kolei tom poetycki **Danuty Sułkowskiej**, poetki i prozautorki. Po wcześniej wydanych *Rzeka* (wiersze, 2010) i znakomitej powieści *Garbus* (2013) autorka proponuje czytelnikowi *Manipulowanie zegarem*, wiersze, które w ostatecznym rozrachunku mają zamknąć czas przeszły, to co było w niej obecne przez lata, a nie pojawiało się tak wyraźnie w pozycjach wcześniejszych. Dochodzimy do tego dopiero, gdy doczytamy ten nasączony „przeszłością” tom do końca. W wierszu *U siebie*, zamykającym książkę, pisze: *Śniła mi się mała zielona wyspa / Całą zajmował zamek / Chodziłam w starym bruku / Dotykałam sędziwych murów”*.

Wyspa, która pomimo że jest zielona, zajmuje ją w całości kamienisty zamek. To tylko może zdarzyć się we śnie. Ale co to oznacza? Nie będę, sądzę, daleki od pomysłów autorki, jeśli powiem iż to obraz tego, czego

jesteśmy świadkami podczas lektury tych wierszy, czyli podglądania własnego świata w czasie. To, co zakotwiczyło się w niej jako obraz przeszłości dawno minionej i domaga się uwewnętrznienia oraz to, co rejestruje czas teraźniejszy, będący chwilę po tym już przeszłym. Czas, to ów kamienisty zamek na zielonej wyspie nadziei. I to czas nie jako rozpamiętywanie tego co było czy jest, ale jako – pamięć.

Tom otwiera wiersz tytułowy *Manipulowanie zegarem*, to w pamięci ojciec nastawia zegar, taki charakterystyczny z wahadłem i cyferblatem, w którym wskazówki posuwało się ręcznie. Ojciec, jak zawsze nastawiał piętnaście minut w przód, co dawało domownikom, by tak rzec, dodatkowy czas na to – by było na czas. Teraz już tego nie ma. Pozostał zegar i wspomnienie. Ale i pozostało coś jeszcze. Inne spojrzenie na czas. Jakie? O tym za chwilę.

Takich wspomnień jest w tej książce wiele. Mamy tu i reminiscencję zabaw dziecięcych (wiersz *Walka*), i ludzi autorce najbliższych oraz dalszych (*Odwiedziny*), czy miejsc o szczególnym znaczeniu, jak w wierszu *Kołysanka*, gdzie: *Na środku obszernej izby / znów kołyszę młodszą siostrę”* (czyli dom), czy charakterystycznych postaci takich jak w wierszu *15 sierpnia – „Babcia Aniela / nadchodzi śpiesznym krokiem / schylona wpół z lewą ręką przyciśniętą / w okolicy krzyża”*. A wszystko to jest zbieraniem zdarzeń, słów i wrażeń (wiersz *Zbieram*), z których Danuta Sułkowska stara się pozbiierać czas (ten przeszły i teraźniejszy), a czemu przygląda się *Prywatna arytmetyka*, wzrok i ruch; ten pierwszy rejestruje drugi, dając obraz tego co było, ale i co jest.

Bo te dwa czasy jakby spletają się ze sobą tworząc jedno. To co minione czyta się tak, jakby to wszystko działo się teraz. Gdyż nie jest tak, że czas się dla Sułkowskiej zatrzymał i rozpamiętuje ona to co było z jakimś rozrzwieniem nadając tylko w formie czas teraźniejszy. Wręcz przeciwnie, on płynie lecz jakby w wiecznym teraz. Pamięć zarówno dla przeszłości jak i terażniejszości, by tak rzec rozgrywa się na tym samej płaszczyźnie emocjonalnej, uczuciowej i – racjonalnej. Racjonalnej, która mówi że czas nieustannie płynie i ucieka, ale i nie. Widać to dookładnie w wierszu *U zegarmistrza*, gdzie wskazówki zegarów pokazują każdy inny czas, a niektóre stoją. Bohaterka wiersza jest jakby tym faktem zaniepokojona, tym ciągłym tykaniem, które sprawia wrażenie chaosu, lecz *Jedynym nie wywołującym zaniepokojenia / i dezorientacji elementem pomieszczenia / jest stary zegarmistrz z lupą na oku / wpatrzony w mechanizm naprawianego zegara”*. To on pozwala jej po wyjściu z pomieszczenia na konkluzję:

Po chwili oszołomienia chaotycznym

(Dokończenie na stronie 18)

Podglądanie własnego świata w czasie

(Dokończenie ze strony 17)

*biegiem marszem spacerem tłumu
»przymierzam« zegary do przechodniów
Dość łatwo stwierdzić który do kogo pasuje
Te stojące na razie do nikogo*

No właśnie *Te stojące na razie do nikogo*. Czas jako constans na ogół nie mieści się w ludzkiej percepcji. A to właśnie on jest, by tak rzec, w pierwotnej wersji człowieka czymś naturalnym. To przecież czas, który obowiązuje w Raju. W swej opowieści o czasie poeta nie posuwa się jednak aż tak daleko...

Zatem wróćmy do omawianej książki, do *Manipulowania zegarem* Danuty Sułkowskiej. Zwraca uwagę wiersz *Rozmowa z ogniem*, której tematem jest ów żywioł z jednej strony unicestwiający, z drugiej dający ciepło. W tym nagłosie ognia jako pożeracza martwych rzeczy, obecnego i wierszach innych jak *Z dymem* (gdzie „rzeczy”, sprawy dotyczące człowieka nie mijają ze względu na ludzką pamięć – do czego wróć), zwraca uwagę pointa, która jest zupełnie innym spojrzeniem na ten proces unicestwiania przez ogień. Jest jakby poza nim. To zupełnie nie ważne, że ogień unicestwia rzeczy. To czas zmarnowany. A do tego czasu nie można zaliczyć, jak pointuje autorka cytując słowa taty (to ten, który nastawiał stary zegar piętnaście minut wcześniej, by wszyscy zdążyli na czas):

*(...) spacerów podczas burzy i gapienia się
na zachód słońca (...)*

To ten czas jest ważny. A w nim jedynie pamięć, lecz nie jako ciągłe wspomnianie i rozpamiętywanie czasu minionego, ale jako i tylko wyłącznie obecność w czasie. I taki charakter mają wiersze ludzkiej pamięci poświęcone. Do nich należy wspomniany *Z dymem, czy W sadzie* – tam z kolei zmuszałe jabłonie i grusze nie wydają owoców, lecz w pamięci *Stopy grzęzną w słodkim miąższu, czy Jak zwykle* – tu percepcja smakowitej kuchni kusi, lecz autorka wie że nie może tam swą pamięcią pójść, gdyż: *Zobaczyłabym że garnki są puste / Poczulałabym lodowate zimno pieca*. To ta różnica między rozpamiętywaniem a pamięcią.

Wspomnienie to czas przeszły, pamięć to w ujęciu autorki przeszłość i teraźniejszość dziejące się w jedno – czasie. I to właśnie ten sposób postrzegania (czasu) pozwala Danucie Sułkowskiej na konkluzję będącą pointą wiersza zamykającego tom *Manipulowanie zegarem*, chodzi o cytowany na wstępie *U siebie*:

*Gdybym mogła być w każdym punkcie czasu
wszędzie
byłabym zawsze
u siebie*

Ta deklaracja w kontekście powyższych sformułowań z pewnością nie jest nadużyciem.

Janusz Orlikowski

Danuta Sułkowska, *Manipulowanie zegarem*. Krakowski Odział Związku Literatów Polskich, Kraków 2015, s. 62.

Poeta kultury tradycyjnej

*Baśń kwitnie w sadzie poezji Nowaka
Królewskie jabłko toczy się po trawie,
purpura jutrzni barwi skrzydło ptaka
i psalm niebieski odbija się w stawie.*

Marek Skwarnicki

W wielu krajach funkcjonuje nieformalny podział na pisarzy „miejskich” i „ludowych”. Ten podział jest niestety także źródłem konfliktów dzielących środowisko literackie „kryją się bowiem za nim bardzo zasadnicze różnice w rozumieniu roli literatury.”

Autor – publikacji „Poeta na Ursynowie” Stanisław Grabowski wykonał kawał ciężkiej pracy (wygląda na to, że siłą sprawczą tego przedsięwzięcia jest również i to, że posiada cechy biografii). Wiele tu wspomnień, komentarzy przyjaciół i znajomych. Wykorzystane zostały recenzje i 29 zdjęć z różnych okresów życia poety Tadeusza Nowaka. Z kart książki wylania się poeta, którego kulturowość wyraża się za pomocą języka reaktywującego tradycyjną metaforykę (spod znaku nad-realistów polskich) najbliższy Nowakowi jest Harasymowicz „potem Czachorowski i Piętał”. Chociaż „wieś Redlińskiego, Nowaka, Kawalca, Pilota, Myśliwskiego, Brylla to już nie ta sama miejscowość. Przeciwnie, to są wioski z innych kontynentów, czy nawet planet. Służą już zupełnie innym celom, co innego wyrażają”.

Psalmistą bez Boga nazwano autora „A jak królem, a jak katem będziesz”. Grabowski pisze o młodości poety – o wsi rodzinnej Sikorzycy – o pobycie poety w Tarnowie, Krakowie i na warszawskim Ursynowie. książka nie tyle znakomita, co bezprecedensowa i niebywała) pełna niezmiernego uroku. Zapewne mało kto wiedział, że poeta miał: „smykalkę do nauk ścisłych, do matematyki – na szczęście otworzył się przed nim nieznanym mu wcześniej świat książek, świat bibliotek i czytelników.” „Długo, bo aż do 15. roku życia, nie wiedziałem, że istnieje coś takiego, co zwie się wierszem” (z wypowiedzi poety). Zatem nic dziwnego, że „Radość, jaką przeżył po wydrukowaniu pierwszego wiersza, radość przepełniająca całą jego duszę nigdy się już potem w takim natężeniu nie powtórzyła” (wydarzenie miało miejsce 22 lutego 1948

roku w 8. numerze tygodnika „Wici”).

Książkę Grabowskiego można nazwać vademecum (jest to rodzaj przewodnika po sytuacjach skomplikowanych i trudnych) ale z takim bogactwem szczegółów, z taką konkretnością, barwnością na którą może się zdobyć tylko wytrawny znawca (z doświadczenia wie, że poezja nadaje rzeczom przemijającym nieśmiertelność).

W spisie treści znajdziemy takie oto rozdziały: „Z Sikorzyc w świat”, „I palcem pisze na listku topoli”, „poezja”, „proza”, „Początek Tadeusza Nowaka”, „Ursynowskie ślady”, „W kręgu przyjaciół i znajomych”, „Bibliografia”.

„Poczucie dystansu wobec Biblii – Pisma świętego chrześcijan (czytam w eseju Małgorzaty Czermińskiej) wyraża się w rozmaitych akcentach postawy laickiej. Zwłaszcza w wierszach, wolnych od konwencji narratora jako członka wiejskiej społeczności, pojawiają się akcenty mówiące o dramatycznym przeżyciu utraty wiary”. Poeta twierdził: „iż w naturze ludzkiej jest tyle samo z chytrego wilka i szatana, ile jest w niej z prawego majestatu króla i bojaźni anioła”. A więc nie stało się to wbrew własnemu sumieniu, że już w 1948 roku poeta posiadał legitymację kandydata PZPR – a pełnoprawnym członkiem partii został w 1952 roku i pełnił funkcję sekretarza POP przy Oddziale krakowskim ZLP aż do roku 1977, czyli do wyjazdu do stolicy. W czerwcu 1977 roku zamieszkał „z żoną Zofią Marią przy ulicy Wiolinowej na warszawskim Ursynowie”. „Autor „Proroka”, mimo że posiadacz partyjnej legitymacji, był w środowisku warszawskim, podobnie jak w krakowskim, pisarzem bardzo pozytywnie ocenianym przez kolegów.” Na stronie 122 czytamy: „Tadeusz Nowak zachowywał się z godnością. Nie pozwolił więcej, by jego liryczne pióro było na usługach jakiegokolwiek ideologii. (14 grudnia 1981 roku poeta oddał legitymację partyjną). Jako podsumowanie tej niezwykle ważnej kwestii – odniosę się do zapisków autora „Braci karamazow” z ostatniego roku życia: „Nie jak głupiec (fanatyk) wierzę w Boga (...) Ich głupim głowom nawet nie śniła się takiej mocy negacja, jaką przeżyłem” (to wyraża dobitnie metodę Dostojewskiego dialektycznego łączenia plusów z minusami, akceptacji i negacji, pro i contra, bowiem „do życia mało samej tylko „hosanny”, trzeba, żeby „hosanna” przeszła przez piec ognisty zwątpień”). W „Dzienniku pisarza” czytamy: „Raz odrzuciwszy Chrystusa umysł ludzki może dojść do zadziwiających rezultatów. To aksjomat.”

„Przed siebie idę i dla siebie” czytamy w „Pieśni o powrocie”. Roch Sulima napisał: „Poezja Tadeusza Nowaka jest poezją kultury, wymaga od czytelnika dyspozycji intelektualnych i erudycyjnych, gdyż tylko te dyspozycje pozwalają odczytywać teksty Nowaka w perspektywie mitologicznej czy ludowo-naiwnej konwencji, której wieś nie zna, lecz ją wyznaje jako rzeczywistość serio”.

Grabowski pisząc (ciepło i serdecznie z

pewnym obiektywizmem) zdaje sobie sprawę z tego, że świat potężnej, świętej i śmiertelnie poważnej dojrzałości poetyckiej Nowaka – należy już do historii literatury. Natomiast duże wrażenie wywarł na nim tzw. refleks poety (zrozumiałem to jako odruch nieświadomy – przekładający się na bezpośredniość nie skazaną żadnymi manierami – nie literackimi również. Ale ściśle prywatną nadającą temu odruchowi odrębną specyfikę). Do poetów z refleksem zalicza Grabowski ks. Jana Twardowskiego i Andrzeja Bartyńskiego – poetę z Wrocławia. W jego poezji toczy się ustawiczny spór: instynktu z rozumem, mądrości z inteligencją. W liryce, w opisach przyrody, tęsknotach do przeszłości, we wprowadzeniu folkloru lwowskiego do poezji. Ta poezja zawsze zasługiwała na żywą uwagę. To rzeczywiście jak pisze Grabowski – poeci z urodzenia. A więc zostawmy „poetom chwile radości”. Poetą z urodzenia na pewno był Krzysztof Gąsiorowski – pełen błyskotliwych obserwacji, namiętnych uczuć, który przez lata uczył się sztuki przekazywania swego bogactwa duchowego. Krzysztof tak pisał o Nowakowej powieści: „A jak królem, a jak katem będziesz? „Nagle w środku nawiedzonej wioski, pojawił się „ON”, przybysz należący do większej niż ta wioska wspólnoty. To „ON”, w swoim, ale i wszystkich uczciwych mieszkańców wioski, imieniu, wykonuje rękami bohatera wyroki na kolaborantach. Porządek świata, któremu podlegała wieś bohatera, i on sam zostali włączeni w rozleglejszy, przekraczający porządek mitu system” („Współczesność” 1968).

„Poeta na Ursynowie” – to książka, w której ukazana została droga twórczości Tadeusza Nowaka – kult talentu samego w sobie, niezależnie od jego intelektualnej i artystycznej jakości. Ważny jest czynnik osobowości pisarza i czynnik sytuacji historycznoliterackiej, w jakiej się pojawił. W jednym z wywiadów tak mówił o swojej twórczości! „Długi czas broniłem się przed wielopiętrowym obrazem poetyckim i zwielokrotnioną metaforą. Przez cały czas walczyłem z sobą o to, by wiersz był i konkretniejszy, i jaśniejszy. A jeśli już metafora, to znacząca więcej, niż wielokrotnie mnożone obrazy poetyckie. Właściwie do tego stopnia mi się to udawało, że w końcu zacząłem pisać prozę”.

Omawiana książka jest również przedmiotem analizy – prozy T. Nowaka. Julian Rogoziński tak oto kreśli wewnętrzny portret pisarza: „Nowak jest w swojej prozie dość „bliskim krewnym Trumana Capote’a, Williama Goyena, Henri Bosco”. W chronologicznym porządku poznajemy opinie o poszczególnych książkach: „Obcoplemienna ballada” (1963), „W puchu alleluja” (1965), „Takie większe wesele” (1966), „A jak królem, a jak katem będziesz” (1968), „Wybór opowiadań” (1969), „Diabły” (1971), „Dwunastu” (1974) i inne. Pozwólmy na podsumowanie Zbigniewowi Bieńkowskiemu:

„Proza Nowaka uderza swoją autonomicznością, niepodobieństwem, niezależnością tematyki i formy. Nowak swoją chłopskością wyraża samoswoją formą chłopskości gawędą. (...) Są partie gawędziarstwa Nowakowej prozy tak olśniewająco piękne i tak uwznioślające jak tylko sama baśń uwznioślić potrafi”.

O twórczości Tadeusza Nowaka pisali: S. Balbus, J. Baran, H. Bereza, J. Błoński, J.Z. Brudnicki, B. Drozdowski, B. Paron, L. Herdegen, S. Jurkowski, J. Kajtoch, A. Kamińska, M. Krassowski, P. Kuncewicz, J. Kwiatkowski, A. Lam, S. Lichański, K. Pieńkosz, J. Pieszcachowicz, R. Sulima, K. Wyka, B. Zadura, H. Zaworska, W. Żukrowski, A. Żurkowski, Z. Wójcik, E. Biela, T.J. Żółciński i inni.

PS. Przedstawiając czytelnikom książkę Stanisława Grabowskiego „Poeta na Ursynowie” napisaną ze znanstwem (w szlachetnym rozumieniu tego słowa) zyskałoby zapewne odpowiedzi na szereg zasadniczych pytań: co oznacza jego obecność w naszej poezji i co go spośród innych wyróżnia? Czy mit o poecie z Sikorzyc przestaje być mitem? Czy odradza się jak rzeczywistość na wiosnę? Jeżeli Paryż wart jest mszy – to Ursynów wart jest ulicy im. Tadeusza Nowaka...

Andrzej Gnarowski

Stanisław Grabowski, „Poeta na Ursynowie”. Oficyna Wydawnicza ASPRA –JR, Warszawa 2013.

Ciągle żywa tragedia

Katastrofę lotniczą z 10 kwietnia 2010 roku w Smoleńsku otacza zwarty gąszcz półprawd i pozacieranych dowodów. Minister Macierewicz niczym błędny rycerz usiłuje w tym gąszczu odnaleźć prawdę, na którą czekają polscy patrioci. Oby się rychło doczekali! Niemiecki dziennikarz śledczy, Jürgen Roth, w swej książce „Tajne akta” twierdzi, że w Smoleńsku nie miał miejsce wypadek, ale zamach i morderstwo.

Roth podjął się również ciekawej, jak niebezpiecznej misji przesłedenia kulis tragedii z 10 kwietnia 2010 roku. Ujawnia jej prawdziwe okoliczności oraz zadaje nadzwyczaj aktualne pytanie, co łączy katastrofę smoleńską z zestrzeleniem malezyjskiego samolotu MH-17 oraz konfliktem na Ukrainie. Cytuje opinię wiceszefa polskiej Służby Kontrwywiadu Wojskowego, który powiedział: „Sądzę, że prawda jest tak przerażająca, że nie da się jej dziś wyartykułować”.

Roth uważa, że jest wiele przesłanek za tym, że na pokładzie samolotu mogło dojść do jednej lub kilku eksplozji. Wiele osób przebywających w pobliżu miejsca upadku samolotu opowiadało, że widziało bądź sły-

szło wybuch na jego pokładzie. Zespół Parlamentarny Antoniego Macierewicza zebrał do tej pory relacje 221 naocznych świadków katastrofy. Spośród nich 65 osób widziało lub słyszało zjawiska świadczące o eksplozji w powietrzu.

Trzeba mieć świadomość, że katastrofa smoleńska jest jedyną w świecie, o której rozstrzygnięto co do przyczyny i sposobu bez badania podstawowych dowodów, jaki stanowi wrak samolotu. Nie ma drugiego takiego przypadku w całej historii katastrof lotniczych. Rosja zawłaszczyła sobie szczątki samolotu. Jest przekonana, że nie ma w tym fakcie niczego nagannego...

Emil Biela

Jürgen Roth, „Tajne akta”. Wydawnictwo Zysk i Ska, Poznań 2016, s. 320.

Zapylanie czasu

To tytuł tomiku wierszy Tadeusza Skwarczyńskiego... z za krat. Każdy skazany na więzienie człowiek musi przeżyć ten okres odręczenia ze społeczności, okres społecznej niechęci, bywa, że także wzgardy.

Ks. Wacław Buryła, wydawca tomiku, co jest ewenementem, pisze we wstępie: Wolność, prawda, mądrość i marzenia – słowa, które tak wiele znaczą, choć czy dla wszystkich znaczą to samo? Nie są to słowa sponsora i wydawcy. Odnalazł je w jednym z listów pisanych do siebie właśnie z więzienia...

Napisał je Tadeusz odsiadujący karę wieloletniego więzienia. Tych korespondencji było więcej. Znamy poetę ks. Wacława, który od dwudziestu lat organizuje Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O ludzką twarz, człowieka”. Na jeden z komunikatów o Konkursie odpowiedział młody człowiek, prosząc o ocenę załączonych wierszy: Nie mogłem udawać, że nie słyszę głosu z za krat”. Być może wydawca z prawdziwego zdarzenia tak, by zrobił. Tacy oni są. Ale nie ksiądz. Długo trwała ta korespondencyjna więź człowieka skazanego na 15 lat więzienia i kapłana. W jednym z listów Tadeusz napisał: „Kiedy zmarł Ojciec Święty Jan Paweł II, sięgnąłem po pióro. Nigdy wcześniej nie pisałem, ale ta śmierć tak mną wstrząsnęła, że chciałem coś ofiarować Ojcu Świętemu, coś bardzo osobistego, z głębi serca”. To prawda, że nie pisze się wierszy, kiedy się chce, lecz wówczas, kiedy człowiek nie może, kiedy ma zalaną krtani i zduszone gardło. Tak nabierało się ich na cały tomik. Ks. Wacław w przedmowie pisze: „To publiczna spowiedź, przyznanie się do swojej przeszłości, do błędów, do zła... Niektóre wiersze wprost płaczą, niektóre są

(Dokończenie na stronie 20)

Zaplanowanie czasu

(Dokończenie ze strony 19)

znakiem pokuty. Poeta albo już odbył tę pokutę, albo jest gotów ją przyjąć. On wie, że na nią zasłużył”. Czytając te wiersze wiem i ja, że wielki jest jego ludzki błąd życiowy, ale też wiem, że to niebo nad nim i nade mną nie powinno skrzypieć nieczytanymi poetami, bez względu na to, czy pisze się wiersze za więzienną kratą, czy przy biurku w swoim domu. Powie ks. Wacław: „Są ludzie, którzy urodzili się w pałacach, w luksusowych apartamentach, na którymś piętrze komfortowych drapaczy chmur, w bajkowych rezydencjach. Ale są też tacy, którzy »urodzili się« w więzieniu...”. Jako ksiądz, kapłan, wie, że »więzienny poeta« za kratami odnalazł siebie, swój sens istnienia, że znalazł samego... Boga.

I właśnie na kartach tomiku z Nim rozmawia. Wszystkie 34 wiersze narodziły się w więzieniu. Zapewne trudno będzie znaleźć ten tomik w księgarniach. Został wydany tylko w stu egzemplarzach. Nie usłyszymy tego krzyku z celi, dlatego warto o tej inicjatywie ks. Wacława napisać. I jeszcze raz przypomnieć nazwisko poety: Tadeusz Skwarczyński i jeden z jego wierszy:

Krzyk w celi

Więzienie to hotel
o ścianach z nienawiści
w mojej celi zaduch cierpienia
pajęczyna myśli
w której utknęło nieczyste sumienie

nie wiem czy prawdziwe są echa
szczęśliwej przeszłości
czy siwe włosy to prezent od życia
czy zmarszczki na mojej twarzy
to ślad rozpacz

lityry równiutko
spływają w biel kartki
trącają się szeptem
lub szmerem się żalą

po nocy krzyk więźnia
w gwiazd szczyr się zaplata
nawet ciszy
o nic już nie zapytam

Kazimierz Iwosse



Osobista apokalipsa wybitnego poety

Wszelkoniernie utalentowany pisarz i malarz Tadeusz Wyrwa-Krzyżański mieszka i tworzy w Pile. Opublikował kilkadziesiąt książek poetyckich, kilkanaście prozatorskich, kilka tek graficznych. „Miary do trumny” to najnowszy tom wierszy. Jest to osobista, prywatna apokalipsa wybitnego poety. Wyjaśnijmy dlaczego taka paralela?

Przypomnijmy, że naród izraelski wydał olbrzymią wprost ilość apokalips, które w swoim czasie (II wiek po Chrystusie) podobną cieszyły się popularnością jak obecne powieści. Apokalipsa świętego Jana Apostoła miała w swym zamysle dodawać prześladowanym chrześcijanom zachęty do znoszenia utrapień, nie zwodząc jednak mirażem rychłego zaprzestania prześladowań. Ostateczny tryumf miał się stać pobudką do bohaterstwa znoszenia cierpienia.

Tadeusz Wyrwa-Krzyżański bardzo cierpi: nie może chodzić ani stać. O swoim psychofizycznym stanie pisze przejmujące, tragiczne wręcz wiersze. Paul Celan powiedziałby: „Trochę mówić, ale ciemno mówić”.

Nie wiem, jak pocieszyć poetę? Bohaterstwa się nie poleca. Wstrząsająca jest rozpacz poety:

Żywy trup pisze dla umierających
wolniej...
Wszystkim zbędny, nikomu
niepotrzebny
dobijam się
o sens trwania

(„Sens”)

Poeta znalazł przyjaciela w Bogu. Wyznaje, że po 40 latach wypowiadał się i regularnie, co miesiąc, przystępuje do komunii świętej. Wierzy, że Bóg jest, był i będzie!

A mnie szlag trafia, gdy w żadnym z aktualnych słowników biograficznych nie znajduję nazwiska: Tadeusz Wyrwa-Krzyżański.

Emil Biela

Tadeusz Wyrwa-Krzyżański, „Miary do trumny”. Wydawca: Biuro Wystaw Artystycznych i Usług Plastycznych, Piła 2016, s. 34.



Cztery pory Bukowej Góry

Wiosenne otoczenie Bukowej Góry rozbielone jest subtelnymi kwiatami tarniny i zażółcone od niepoliczalnej ilości mleczy. Las jest zgoła odmienny. Chłodny, ciemny, pełen różnych odcieni świeżej zieleni. Niekiedy tylko zieleń dywanu ozdabiają delikatne zawilce i pierwiosnki, rzadziej storczyki i lilie. Jednak osobliwością buczynowego lasu jest owo dywanowe poszycie. Tworzą je sadzonki młodych drzew: mniej klonów, jaworów i lip, najwięcej buków. Młodych buków jest tak wiele, że nogi brodzą pośród nich jak między łąkowymi trawami. I tak jak trawy, można by je kosić. Lecz w tym wyręcza człowieka przeznaczenie. Zasadniczo wszystkie młode siewki skazane są na wymarcie. W zwartym gąszczu potężnych drzew, pozbawione światła - zamierają, by za rok odrodzić się w nowym, równie żądnym życia, pokoleniu. Siewki buczynowe są ciekawe nie tylko w masie. Każda pojedyncza, oglądana z osobna, jest miniaturą dorosłego drzewa. Nieokaleczone bonsai. Z monotonią zieleni kontrastuje ptasi gwar. Rozśpiewane, rozświergotane, rozkrzyżczane, szukają swojej połowy. Przyroda daje im wszak niewiele czasu, by zbudować dużą i mocną rodzinę.

Wejście do lasu wczesnym latem usłane jest poziomkami. To jeden z sygnałów zwiastujących obecność saren. Poziomki są bowiem ich ulubionym przysmakiem. Te z Bukowej Góry w niewielkim stopniu przypominają znane leśne czy ogrodowe. Ciemne matowe liście, okrągłe różowe owoce z kremowym środkiem. Są prawie pozbawione charakterystycznego zapachu i słodyczy. Taka wariacja na temat. A jednak wabią... Letni bukowy las staje się rajską krainą. Ciepło, delikatny szum liści, intensywne światło. W przedzierających się przez gęstą koronę drzew słonecznych promieniach tańczą i drobiny pyłu i owady, i zapachy. Wszystko to wznosi się w górę, ku słońcu. Wtedy także cienie zaczynają zdobić grube i nagie pnie buczyny. Liście buków, rzadziej klonów i lip, odgrywiają przed wzrokiem patrzącego swój teatrzyk cieni.

Jesień jest najpiękniejszą porą Bukowej Góry. Dominują trzy barwy: szarość, błękit i ogrom brązów. I choć wszystkie wypełniają każdy obraz, nigdy nie nudzą. Pagórkowaty teren zdaje się być stworzony po to, by zostać zasypanym opadającymi liśćmi. Suche leżą bezustannie wirowym ruchem. Dlatego nigdy nie przemierza się dwa razy takiej samej ścieżki. Zawsze, choć odrobinę, droga przybliża nas ku niebu. Ciepłe światło ukazuje historię zapisaną na korze. Tę naturalną i dewastacji dokonanych ludzką ręką. A napisów, serc i szubienic zatrząsienie!

(Dokończenie na stronie 24)

Filozofia codzienności (116)



Teorie naukowe wyrażają stan świadomości człowieka, Nie wiemy jaka zachodzi relacja między osiągniętą wiedzą a światem jakim on jest sam w sobie.

Podziwiam Demokryta, który sformułował atomistyczną kilkadziesiąt wieków wcześniej zanim zostały atomy odkryte w laboratoriach. Podziwiać należy także literaturę piękną, fantastyczną, bowiem Juliusz Verne i, na przykład, Stanisław Lem wyprzedzili w swoich książkach odkrycia uczonych.

Kryterium, które by odróżniało naukę od pseudonauki było poszukiwane przez Karola Poppera, austriackiego myśliciela często powoływanego w Polsce. Podważa on możliwość naukowego prognozowania przyszłych losów ludzkości. Jednocześnie podkreśla, że wiedza naukowa ma charakter jedynie hipotetyczny. Powątpiewa w nieomylność poznawczą elit intelektualnych. Zadaniem rozumu, według Poppera, jest porządkowanie w człowieku chaosu namiętności, doznań i uczuć. Jest to, jego zdaniem, droga prowadząca do porozumienia osób wyznających odmienne wartości. Problem ludzkości zawiera się w błędach zarówno prawicy, jak i lewicy. Obydwa stanowiska odległe są od racjonalizmu, jak stwierdza. Człowiek nie tylko ma ograniczoną wiedzę, ale także popełnia błędy w dążeniu do prawdy. Wolność umożliwia głoszenie różnorodnych poglądów, ale zdaniem Poppera żadnego z nich nie powinno się uznawać za ostatecznie udowodnione. W imię wolności należy odrzucić poglądy oparte na mocy autorytetów. Agnostycyzm prowadzi do postawy szacunku wobec drugiego człowieka i jego poglądów.

Wolność każdego z nas powinna być ograniczona jedynie koniecznością respektowania wolności pozostałych jednostek. Skoro jesteśmy wolni, to należy koncentrować wysiłki jednostek i tworzyć lepszą przyszłość niż doświadczana teraźniejszość. Ten cel zespala wysiłek indywidualny prowadząc do utworzenia wspólnoty.

Nie tylko Popper zdawał sobie sprawę z tego, że człowiekowi brakuje poglądów pewnych, to znaczy niepodważalnych. Przyniosłyby one poczucie bezpieczeństwa. Docieranie do poznania prawdy wymaga wysiłku ponawianego przez przedstawicieli kolejnych pokoleń. Prawdopodobnie zbliżyć się do niej

będziemy asymptotycznie. Co więcej, nie ma zgodnej odpowiedzi uczonych na pytanie, co znaczy prawda.

Filozofia codzienności powinna pomagać w wyzwaniu się z opinii narzucanych nam przez społeczeństwo. Powinna także pomagać w okolicznościach braku akceptacji ze strony otoczenia. Powinna pomagać w kształtowaniu własnego istnienia na miarę tęsknot i marzeń. W marzeniach nie musimy poskramiać naszych uczuć. Możemy być wolni od rozmaitych nakazów, a więc w pełni spontaniczni. Nie chodzi tu o marzycielstwo, które prowadzi do tego, że woli się żyć zastępczo, to znaczy ziszczać własne oczekiwania jedynie w świecie marzeń.

Wzorem do naśladowania powinien być człowiek, który ma odwagę w każdym wieku kalendarzowym rozpoczynać życie od początku. Człowiek, który mimo przeżytych rozczarowań – ufa nowo poznanym ludziom.

Bezsensowność, lęki, zniechęcenie, niezadowoloność, ucieczka w świat wirtualny – to oznaki, że istniejemy w sposób odległy od naszych rzeczywistych pragnień. Najczęściej zdarza się, że ulega się presji tradycyjnego poglądu według którego należy poświęcać się dla kolejnego pokolenia. Filozofia codzienności wskazuje, że człowiek ma obowiązki przede wszystkim wobec własnej drogi rozwoju, co powinno skłaniać do wysiłków kulturotwórczych. Niepokojąca jest wizja społeczeństwa w którym kolejne pokolenia poświęcają się dla pokolenia wzrastającego i jedynie niewielka grupa rzeczywistej elity duchowej poważnie traktuje wskazanie jakim jest społeczny indywidualizm.

Filozofia w ogóle, w tym filozofia codzienności, różni się w zasadniczy sposób od innych nauk szczegółowych. Przedmiotem jej dociekań nie jest jakiś wycinek świata przyrody, lecz istota zjawisk otaczającego nas świata. Systemy filozoficzne o charakterze maksymalistycznym podejmują również problematykę wartości. Są one nieobecne w świecie przyrody, bowiem o żadnym zjawisku zachodzącym w tym świecie nie możemy mówić, iż jest, na przykład, sprawiedliwe czy dobre. Wartości pełnią natomiast istotną rolę w świecie kultury. Ten świat stanowi ich ucieleśnienie. Powinny one pełnić także taką rolę w istnieniu jednostek. Upraszczać można stwierdzić: albo ideały – albo wartości miałki.

W XXI wieku, w epoce liberalizmu ekonomicznego, nastąpiło rugowanie filozofii z edukacji oraz z życia publicznego. Pod wpływem amerykanizacji miejsce filozofii zaczęła zajmować socjologia, która koncentruje uwagę na tym, co przeciętne, statystycznie najczęstsze. Natomiast z punktu widzenia filozofii najbardziej interesujące jest to, co odbiega od przeciętności oraz człowiek w sytuacjach skrajnych, bowiem one powodują, że dostrzega się „prawdziwą twarz” danej jednostki. Sytuacje skrajne, graniczne zmuszają do zrzucania tzw. masek i nie ma w nich miejsca na pozory.

Przykładem rugowania filozofii w sposób zawołany jest zanik znaczenia filozofii polityki na rzecz politologii, czy minimalizacja znaczenia filozofii prawa na rzecz teorii prawa, czy brak dalszego rozwoju filozofii medycyny, która rozkwitła w Polsce w XX wieku.

Słyszmy o rzekomej śmierci ideałów, czyli wyższych wartości. Ten pogląd wywodzi się między innymi z trudnego do precyzyjnego określenia nurtu filozoficznego jakim jest postmodernizm. Podważa on wartość humanizmu. Brak szacunku dla ideałów znamienuje także pragmatyzm, który stał się w Europie popularny za sprawą narastającej w Europie amerykanizacji. Pragmatyzm zamiast dążenia do ideałów wskazuje wartości materialne oraz indywidualne interesy jako cele nadrzędne. W rezultacie rugowania filozofii z edukacji doszło do dominacji wartości niższych, czyli materialnych i biologicznych. Brakuje dla nich przeciwwagi, brakuje uszlachetniającego wpływu ideałów na świadomość człowieka.

Filozofia jest rezultatem dążenia do zaspokojenia ciekawości poznawczej i rodzi się z dążenia do głębokiego poznania świata przyrody oraz rozumienia świata kultury. Stanowi on rezultat wysiłków, by rzeczywistnie świat ideałów. Niemożliwa do przewyżczenia pozostanie zapewne ogromna dysproporcja między światem kultury a światem ideałów.

Jak wiadomo, filozofia zrodziła się w Grecji – po pierwsze, ze zdziwienia światem oraz po drugie, z poczucia, że odpowiedzi religijne nie są wystarczające, by wyjaśnić obserwowane zjawiska. Geneza filozofii zespoliła się z wyraźnym rozdzieleniem tego, co należy do wierzeń religijnych i tego, co należy do zakresu nauki. Filozofia Kanta umocniła to rozdzielenie, które nie występowało w epoce średniowiecza. Był to okres jednorodnej kultury europejskiej, spowodowany dominacją chrześcijaństwa. W Europie dziś taka sytuacja zaznacza się w Polsce.

Znajomość jakiejś dziedziny wiedzy może doprowadzić do tego, że jej znawca jest wybitnym specjalistą, ale drogą prowadzącą ku mądrości jest filozofia. Mądrość nie jest ceniona w epoce liberalizmu ekonomicznego; zaleca się kształtowanie życia stosownie do potrzeb rynku, dążenie do sukcesu w drodze rywalizacji i konkurencji.

Rodzimy się jako załączek człowieka, a stawanie się człowiekiem wymaga ukierunkowania naszego istnienia przez ideały. One powinny stawać się drogowskazami i zarazem celami zarówno w wymiarze życia jednostkowego, jak i zbiorowego.

cdn.

Maria Łajszkowska

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Rozmowy na globie -
człowieka o sobie**I to tyle**

*Idę słowami los się uśmiecha
jestem poetą mówi poeta
idzie słowami jak mędrzec jak chłopiec
moja poezjo – dokąd – odpowiedz
idą słowami ludzie przez wieki
słowo do słowa – rzeka do rzeki
idą słowami ludzie przez czas
słowa zostają w nas
idę słowami i to będzie tyle
gdy wiersz się skończy za chwilę*

Czy słyszycie tę ciszę, tę ciszę, jakby ktoś makiem zasiał? Dzisiaj w *salonie mych myśli* siedzę sam przy okrągłym stole, a wokół mnie cisza, cisza, jakby ktoś makiem zasiał. Głos zza pieca milczy. Okienna framuga milczy. Złocisty kandelabr nad okrągłym stołem milczy. Ja milczę też tak samo, tak samo, jak oni. Tylko te myśli krzyczą. Krzyczą i krzyczą jedna po drugiej. Pytacie mnie jakie myśli krzyczą? Myśli o życiu. Czy słyszycie, jak wołają: Boże, mój Boże czemuś mnie opuścił! Czy słyszycie jak wołają: czemu tak jest, że przemija życie. Czemu tak jest, że wszystko się kończy i umiera życiodajna miłość. Kto na to pytanie da nam odpowiedź. O myśli moje, moje myśli o życiu. Posłuchajcie, co wam powiem. Za jakiś czas przyjdzie taki czas, że każdy z nas pozna wielką tajemnicę istnienia ożenionego z wiekuiłą nicością. Dlatego wkładamy im na palce obrączki naszej poezji.

– Nie pchaj palca między drzwi – odezwała się okienna framuga w *salonie mych myśli*.

– Nie pchaj palca między drzwi, bo to bardzo boli – odezwał się głos zza pieca w *salonie mych myśli*.

– Między istnieniem, a nicością, człowiek traci głowę, bo naprawdę nie wie, nie ma doświadczenia, jaką drogą iść i do jakiego

celu. Nie wie, jak było i nie wie, jak będzie, gdy wykroczy za próg swego życiowego wiersza. To złocisty kandelabr nad okrągłym stołem wypowiedział swą myśl w *salonie mych myśli*.

Do *salonu mych myśli* otwierają się drzwi i wchodzi ich czworo. Błękitnooka i złotowłosa Wiosna, piwnooka jak heban czarnowłosa Luna, filozof Pan Nietwór i asystent Daniel Spaniel.

– Drodzy moi! Stańmy na baczność przy okrągłym stole – powiedziała Wiosna. Przeczytam tekst poświęcony Tej, która w styczniu tego roku, 2016 wykroczyła za próg swego życiowego wiersza.

Szanowni Państwo, uczestnicy spotkania poświęconego ŚP. Jolanty Nowak-Węklarowej – spotkania, które odbywa się dzisiaj, 12 maja 2016 roku, tu w Wągrowcu, gdzie mieszkała, pracowała zawodowo, społecznie i twórczo, jako polska poetka, służąc pięknu życia, czynionego pięknem słowa.

Zwracamy się do Was, aby wyrazić nasz wielki żal i wielki ból serca, że odeszła od nas, jak wielobarwny kwiat wyrwany wichrem z ogrodu życia. Wyrażamy głębokie i serdeczne współczucie Jej osieroconej rodzinie, wszystkim przyjaciółom i wszystkim tym, którym dawała radość życia, swą dłoń przyjaźni i uśmiech miłości.

Cały czas widzimy ten Jej promienny uśmiech u nas, na międzynarodowych festiwalach poezji w Polanicy Zdroju „Poeci bez granic”. A teraz ten jej promienny uśmiech, widzimy tam, w świetle wiecznej poezji, dokąd się wzniosła na skrzydłach nieśmiertelnego ducha. My się tam kiedyś z Nią spotkamy razem, jako poeci bez granic.

Droga Jolu, cześć Twej pamięci! Już jesteś tam, a nadal tu jesteś z nami. Tak mówią do Ciebie w imieniu poetów i poetek, i w imieniu własnym Twój Przyjaciele: dwaj prezesi Dolnośląskiego Oddziału Związku Literatów Polskich we Wrocławiu: honorowy prezes Andrzej Bartyński i urzędujący prezes Kazimierz Burnat.

Droga Jolu, cześć Twej pamięci.

– Nie wiem czy już wiecie o tym, moi drodzy – zapytała nas Luna – że dzisiaj, 12 maja wykroczyła za próg swego życiowego wiersza, tak wszystkim dobrze znana z radia, telewizji, prasy i spotkań autorskich, satyryczna poetka, dziennikarka, twórczyni znanych tekstów piosenek Maria Czubaśzek, kochająca życie i tego uskrzydłonego kocura humoru swej filozofii życia z figlarnymi warkoczami dobrych uczynków, a to wszystko w natchnionym dymie ulubionych papierosów po spożyciu ulubionych parówek.

Droga Mario, cześć Twej pamięci.

W tym roku wykroczyła za próg swego życiowego wiersza znana krakowska poetka, pełna wdzięku i tęsknoty za pięknem życia-

Krystyna Szlaga. Uczestniczka międzynarodowych festiwalu poezji w Polanicy Zdroju „Poeci bez granic”.

Droga Krysiu, cześć Twej pamięci.

Zapada cisza, która chwilę trwa, jak chwila wieczności. Zabiera głos Daniel Spaniel – 1 maja tego roku w Krośnicach wykroczyła za próg swego życiowego wiersza Salomea Kapucińska, poetka, członkini sławnej poetyckiej Wrocławskiej Grupy Artystycznej „Dla czego nie”. Przeczytam tekst naszego Autora – *Strofa poświęcona Salomei*

*Taka jesteś piękna
taka jesteś młoda
masz dopiero siedemnaście lat
szukam cię we wierszach
w zapomnianych odach
szukam cię Salome
we wiosennych snach
gdzieś na srebrnych piętrach
gdzieś na złotych schodach
szukam cię Salome
czy weszłaś na dach?
Oni mówią obłąkana
oni mówią zwariowała
oni mówią posiwiła
i kulawą już się stała
oni mówią jest w szpitalu
plecie bzdury jak na haju
udusiła tego karla
co jej w głowie myśli targał
i umarła
tam w Krośnicach
koło Wrocławia
jakbyś przeciął świat żyłką
Salome – poetko
a ty odpłynęłaś
jak odpływa woda
kiedy płynie rzeką
by zdążyć na czas
Taka jesteś piękna
taka jesteś młoda
masz dopiero siedemnaście lat
A on stoi w oknie
i czeka czy dotknie
twoich nagich ramion
jak wyśnionych gwiazd
Szukam cię we wierszach
w zapomnianych odach
gdzieś na srebrnych piętrach
gdzieś na złotych schodach
taka jesteś piękna
taka jesteś młoda
szukam cię Salome
i skończona strofa*

Droga Salome, cześć Twej pamięci.

Na estradę w *salonie mych myśli* wchodzi piwnooka Luna i słyszemy wszyscy jej szmaragdowy alt – Boże mój! Stworzycielu nieba i ziemi, Stworzycielu słowa, które stało się cia-

(Dokończenie na stronie 24)

POEZJA

Grupa Każdy, Ewokacja. Redakcja i wstęp: Aneta Kielan-Pietrzyk. Posłowie: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. Projekt okładki oraz rysunek: Wojtek Kowalczyk. Wydawca: Grupa Każdy, Kraków 2015, s. 148.

Małgorzata Januszewska, Slajdy z kucykami. Opracowanie graficzne i ilustracje: Małgorzata Januszewska. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2016 [bez numeracji stron].

Adriana Jarosz, Niebo pachnące sianem. Redakcja i posłowie: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. Opracowanie graficzne: Joanna Plichta. Fotografia Autorski: Grażyna Ziętek. Wydawnictwo SINGO, Kraków 2015, s. 74.

Maria Jastrzębska, Cedry z Walpole Park / The CedarS OF Walpole Park. Przełożyli z angielskiego: Anna Błasiak, Paweł Gawroński, Wioletta Grzegorzewska. Projekt okładki: Tomasz Fronckiewicz. Seria *Faktoria Poezji*, tom 5. K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Miejska Biblioteka Publiczna im. Księcia Ludwika I, Brzeg 2015, s. 104.

Irena Kaczmarczyk, Kanoniczna 14. Opracowanie redakcyjne i korekta: Irena Kaczmarczyk. Obrazy: Renata Kulig-Radziszewska. Postscriptum: Ewa Preisner. Fotografia Autorski: Andrzej Makuch. Wydawca: Krakowski Oddział Związku Literatów Polskich, Kraków 2016, s. 96.

Marek Kołodziejcki, Kontrakt. Projekt okładki Tomasz Fronckiewicz. Seria *Faktoria Poezji*, tom 6. K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Miejska Biblioteka Publiczna im. Księcia Ludwika I, Brzeg 2015, s. 40.

Jerzy Kronhold, Skok w dal. Obraz na okładce Marek Szczepny. Projekt okładki i stron tytułowych Marek Pawłowski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2016, s. 68.

Piotr Mitzner, Polak mały. Projekt okładki i stron tytułowych Lech Robakiewicz. Na okładce wykorzystano litografię Honore Daumiera *Lunatyk*. tCHu, doM wYdawniczy, Warszawa 2016, s. 68

Pięć wieków poezji o Lublinie. Antologia. Wybór, opracowanie i wstęp Waldemar Michalski. Opracowanie graficzne i projekt okładki Zofia Kopel-Szulc. Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent”. Lublin 2015, s. 454.

Kacper Plusa, wiersze na żółtym papierze. Projekt graficzny Krzysztof Schodowski. Projekt typograficzny Joanna Jasińska. Miejska Biblioteka Publiczna w Świdnicy, Świdnica 2015, s. 56, w tym ilustracje.

Adrian Sinkowski, Raptularz. Na i stronie okładki fotografia Jarosław Taran/ KARTA, *Dzieci bawiące się na podwórku*. Na iv stronie okładki zdjęcie poety z archiwum autora. *Biblioteka Poezji/Biblioteka „Toposu”*, tom 123. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2016, s. 64.

Grzegorz Skórka, Mówi do mnie świat. Redakcja i posłowie: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. Opra-

cowanie graficzne: Joanna Plichta. Wydawnictwo SINGO, Kraków 2015, s. 88.

Słowem rozkołysany ogród. Almanach XIII Poetyckich Ogrodów– Tymbark 2016. Redakcja i wstęp: Marek Jerzy Stępień. Projekt okładki: Krystyna Stępień. Wydawca: Marek Jerzy Stępień, Tymbark 2016, s. 76.

Marek Jerzy Stępień, Sonety dla Boga. Redakcja: Marek Jerzy Stępień. Projekt okładki: Krystyna Stępień. Wydawca: Marek Jerzy Stępień, Limanowa 2016, s. 46.

Marek Jerzy Stępień, U podnóża odwiecznej góry. Redakcja: Marek Jerzy Stępień. Projekt okładki: Krystyna Stępień. Wydawca: Marek Jerzy Stępień, Limanowa 2016, s. 58.

Konrad Sutarski, Jakkolwiek już późno. Prace na okładce i wewnątrz tomu Peter Serediuk. Portret Konrada Sutarskiego na IV stronie okładki z archiwum poety. *Biblioteka Poezji/Biblioteka „Toposu”*, tom 121. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2015, s. 80.

Alicja Tanew, Zamienię kurtkę na miłość. Redakcja: Alicja Tanew. Wstęp: Jan Poprawa. Projekt okładki: Ewa Koziół. Ilustracje: Stanisław Żebracki. Wydanie IV uzupełnione. Wydawca: Scena ATA. Kraków 2016, s. 96.

Mieczysław Warszawski, Nic ponad. Wstęp Czesław Sobkowiak. Fotografie z rodzinnego albumu. Projekt typograficzny Anna Strzyżewska. Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2015, s. 140.

Juliusz Wątroba, Szczęśliwa Miłość Samosiejką / Lotos Of Love. Przekład Jarosław Fejdych. Projekt okładki i ilustracje Renata Cygan. Związek Literatów Polskich, Katowice 2015, s. 128.

Magdalena Węgrzynowicz-Plichta, Artefakty. Redakcja: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. Projekt okładki: Joanna Plichta. Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2015, s. 96.

Radosław Wiśniewski, Inne bluesy. Na okładce obraz Ireny Gajser. Zdjęcie autora Wiktoria Sozańska. Biblioteka Galerii Literackiej. Galeria Literacka przy GSW BWA w Olkusz, Olkusz 2015, s. 48.

Jarosław Żukowski, Jaz. Rysunki Jarosław Żukowski. Projekt okładki Mirosław Ślapiak. Oficyna „Z bliska” Biblioteki Publicznej w Gołdapi, Gołdap 2015, s. 50.

NAUKA, KULTURA, SZTUKA

Rafał Chwiszczuk, Jak nie pić i żyć szczęśliwie. Projekt okładki i zdjęcie na okładce Anna Szypuła i Herbert Orlikowski. Fundacja Cultus, Warszawa 2016, s. 112.

Detektywi na tropach tajemnic liryki. O twórczości Sławomira Matusza. Projekt okładki Anna Kaczkowska. Zdjęcie poety na okładce Szymon Hant-

kiewicz. Fundacja im. Jana Kochanowskiego, Sosnowiec 2015, s. 152.

Izabela Górnicka-Zdziech, Franciszek Starowieyski. Bycza krew. Ilustracje na okładce i w tekście Franciszek Starowieyski. Projekt okładki Mikołaj Starowieyski. Zdjęcia na wkładkach Jacek Lalak, Maciej Odoliński. Pruszyński i S-ka, Warszawa 2016, s. 352.

Alain Jouffroy, Natalia Kruszyna, Katarzyna Łata, Wrona, Agnieszka Taborska, Georges Visat, Henryk Waniek, Bellmer/Visat. Katalog do wystawy *Bellmer/Visat* na stućdziesięciolecie Miasta Katowic. Na okładce Hans Bellmer *Karabin maszynowy w stanie laski*, 1972. Projekt graficzny Jolanta Barnaś. Fotografie i reprodukcje Piotr Sobański. Instytucja Kultury Katowice, Miasto Ogrodów, Muzeum Historii Katowic, Katowice 2015, s. 94 + ilustracje.

Aleksander Kaczorowski, Hrabal. Słodka apokaliptypa. Projekt okładki Agnieszka Pasierska/Pracownia Papierówka. Projekt typograficzny Robert Oleś/d2d.pl. Fotografia na okładce Milanjanković. Seria *Biografie*. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2015, s. 264.

Marcin Kołodziejczyk, Bardzo martwy sezon. Reportaże naoczne. Projekt okładki Ania Kowalska. Wielka Litera, Warszawa 2016, s. 406.

Alice Milani, Wisława Szymborska. Życie w obrazkach. Przełożyła Joanna Wajs. Znak emotikon, Kraków 2016, s. 140.

Jerzy Pilch w rozmowach z Ewelina Pietrowiak, Zawsze nie ma nigdy. Zdjęcie na I stronie okładki Władysław Pilch. Zdjęcia autorów na iv stronie okładki Paweł Topolski, Tomasz Stefański. Opracowanie graficzne Marek Pawłowski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2016, s. 260, w rym ilustracje.

Przewodnik po zaminowanym terenie. Helikopter. Antologia teksów z lat 2011-2015. Wybór i opracowanie Krzysztof Śliwa, Marek Śnieciński. Projekt graficzny Katarzyna Pietrzak-Zawada. Ośrodek Postaw Twórczych/Biuro Festiwalowe IMPART 2016, Wrocław 2016, s. 512.

Eugeniusz Soból, Mozaika Europy Wschodniej. Wybór esejów i recenzji. Projekt okładki Krzysztof Galus. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2015, s. 320.

Krzysztof Varga, Setka. Projekt okładki Sebastian Bieganiak. Zdjęcie na okładce Radek Polak. Wielka Litera, Warszawa 2016, s. 512.

Monika Wąs, Dymny. Życie z diabłami i aniołami. Rysunki Wiesław Dymny. Projekt okładki i opracowanie typograficzne Oksana Shmygol. Fotografia na I stronie okładki Wojciech Plewiński/Forum. Wydawnictwo Znak, Kraków 2016, s. 432.

Szymon Wróbel, Polska proza depresyjna od Gombrowicza do Mroźka i z powrotem. Projekt okładki i stron tytułowych Ewa Gray. Seria *Dzieje psychoanalizy w Polsce*. UNIWERSYTAS, Kraków 2016, s. 496.

I to tyle

(Dokończenie ze strony 22)

lem i zamieszkało między nami. Boże mój, który dajesz nadzieję na nieśmiertelność życia w Twoim królestwie, tym którzy wykroczyli za próg swego życiowego wiersza. Cześć Twej pamięci.

Na estradę w *salonie mych myśli* wchodzi filozof Pan Nietwór i spogląda w głąb swojej duszy i spogląda w głąb naszej duszy i spogląda w głąb kosmosu. Ciszta jakby ktoś makiem zasiał. Mijają wieki a my razem z nimi.

*A gdy uśniemy – umrzemy
ptak nas przytuli do dzioba
mrówka nas weźmie do ręki
i znowu się zacznie ta sama droga
do zmyślonego Boga*

– Boże mój! – prosi filozof – daj nam odpowiedź, czy jesteś, żebyśmy byli szczęśliwi, tak jak szczęśliwy Ty jesteś.

P.S.

Między Bogiem a prawdą stoi nieprawda i udaje prawdę. Dzięki Bożemu miłosierdziu staje się prawdą. Tym sposobem, my człowiek idziemy od początku naszego życia drogą nadziei. Między Bogiem a prawdą pojawia się pytanie – dokąd dojdziemy między Bogiem a prawdą.

Andrzej Bartyński

Cztery pory Bukowej Góry

(Dokończenie ze strony 20)

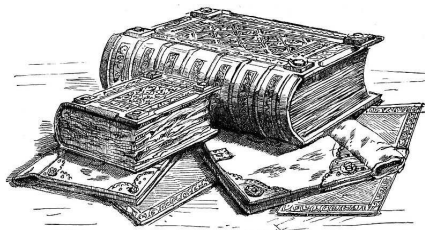
Powalone pnie porasta mech. W naturze śmierć daje życie. Inne drzewa umierają stojąc. Pozbawione gałęzi, samotne, wydrążone w środku przez korniki, trwają dzięki korze i silnemu zakorzenieniu. Rozpad kory jest kolejnym nieuchronnym etapem. Przez otwory w tej warstwie można oglądać niebo w ramach. Pejzaż trochę smutny. Pozbawione częściowo liści gałęzie odsłaniają bogactwo swych kształtów. Bucznia storczykowa różni się od górskiej. A każde drzewo jest w ogóle inne. Każdemu warto się przyjrzeć. W potęgę każdego warto szukać siły.

Obraz jak z dawno zagubionego landszafiku: na rozległej polanie u podnóża góry

spod puszystego śniegu wyskubuje zamazaną trawę sześć saren. Długi ciąg rzeczowników jest potrzebny, by oddać zagęszczenie oglądanego pejzażu. Uzmysławia, że to właśnie rzeczy proste, jak polana, góra, śnieg, trawa, sarny, tworzą nieprzemijające piękno. Choć coraz trudniej dostępne. Nadużycie widoku z sarnami nie zniszczyło wszak giętkości i delikatności linii ich ciała, nie osłabiło wdzięku zgiętej szczupłej głowy, nie zmniejszyło wzruszenia wywołanego obserwacją uporu, z którym poszukują pożywienia. Ważnym elementem budujący nastrój jest zaskoczenie – rozgadanie, chaos myśli i nagły, zaledwie kilku sekundowy, spokój obrazu z sarnami. Odbiegły szybciej niż może powrócić równomierny oddech. Wędrowka po zdeptanej polanie jest długim doświadczaniem krótkiej chwili. Ale nie to powolne wędrowanie, przypatrywanie się odgarniętym spod śniegu kępom suchych traw, czy śledzenie zapisu układu kopyt i miękkiego ruchu pyszczków utrwała się w pamięci, lecz tamten miniony obraz.

Zimowa nagość wydobywa potęgę srebrnych pni buków. Obie barwy – biel i srebro – harmonizują ze sobą. To, co je rozdziela – element czerni – jest prawie nieuchwytny. Można dopatrzyć się go w załamach gałęzi, w odsłoniętej miejscami ziemi. Paletę barw uzupełnia mocna zieleń bluszczy porastających zbocza góry, szczerlnie oplatających nagie pnie. Dach z gałęzi buczyny jest odległy od patrzącego. Zimowy - przypomina delikatną pajęczą sieć. Jednak najbardziej niezwykłym uczuciem, którego można doświadczyć na zimowej Bukowej Górze, jest cisza. Absolutna. Tu dopiero zrozumiałam, co znaczy to określenie. A raczej tego doświadczyłam. Żadnego szumu cywilizacji, żadnych leśnych odgłosów, tylko cisza, wobec której człowiek staje się bezradny. Już nie tylko zaskoczony, ale powalony czymś, co zdawać by się mogło, nieuchwytnym, nierealnym, w najlepszym wypadku - przynależnym do świata literackiej fikcji. Słaby człowiek wobec wszechogarniającej absolutnej ciszy. Ludzka małość wobec potęgi wszechświata.

Beata Anna Symoń



W „Gazecie Wyborczej” (numer 129/2016) wywiad Agnieszki Kublik z Jerzym Radziwiłowiczem.

Agnieszka Kublik (...) – **Złota era Starego Teatru i trzech wielkich reżyserów: Konrada Swinarskiego, Jerzego Jareckiego i Andrzeja Wajdy.**

Jerzy Radziwiłowicz: – Pierwsze przedstawienie grałem u Jerzego Jareckiego w „Procesie: Kafki. Dzięki niemu zresztą znalazłem się w Krakowie.

– **Premiera „Dziadów” Swinarskiego w 1973 roku stała się wielkim wydarzeniem.**

– Było oczywiście nawet dla Warszawy, że Stary Teatr jest najlepszy w kraju. Potem grałem u Swinarskiego w „Wyzwoleniu. Byliśmy z „Wyzwoleniem” w Teatrze Dramatycznym w Warszawie. Na balkonie była trójka muzyków, mieli przykazane przez Swinarskiego, że kiedy się kończy, Jurek Trela wymachuje szabelką i gaśnie światło, to grają do ostatniego widza. Grali „Po-loneza”, który Zygmunt Konieczny napisał do tego przedstawienia. W Krakowie to trwało tyle, ile okłaski, chwila i ludzie wychodzili. A w Warszawie, opowiadał mi Zbyszek Paleta, który na skrzypcach grał, już się skończyło, scena ciemna, widownia zapalona, oni grają, nikt się nie rusza. No to grają. Ale ile można grać? Jak dać publiczności znać, żeby sobie już poszli? „Wiesz, zacząłem ciągnąć coraz mocniej na tych skrzypkach do góry, do góry, i urwałem strunę. Przestaliśmy grać, ludzie jeszcze posiedzieli trochę i dopiero wyszli. To było wzruszające poczucie, że w teatrze rozmawiamy ze sobą o niezgodzie na to, co jest poza teatrem”.

– **Teraz też tak będzie?**

– Czas jest zupełnie inny. Jest tyle mediów, wtedy były dwa programy telewizyjne.

– **TVP zdjęła z anteny Plocką Noc Kabaretową, obawiała się żartów na żywo.**

– Władza, jeśli tak postępuje, znaczy czuje, że ma coś na sumieniu. Na żywo zawsze się będzie bała.

– **Jak długo można wychodzić na ulice przeciwko władzy, która łamie prawo?**

– Tak długo, jak będzie powód. Niu mam wrazenia, żeby się te marsze znudziły, bo tam jest przyjemna atmosfera, choć to nie są pikniki. To jest wspólnota, która chce się odciąć od chamstwa, pogardy, nienawiści. I ludzie w takiej wspólnotce, czują radość i energię. Bo język PiS jest toksyczny, niszczący, degradujący. Nie można lżyć ludzi i jeszcze mówić, że nie my lżymy, tylko jesteście łżeni. To PiS rozkręcił tę atmosferę insynuacji, podejrzliwości. Ludzie, którzy szli na Krakowskie Przedmieście, by wspominać tych, którzy zginęli pod Smoleńskiem, dostali zezwolenie i ogromne wsparcie PiS, by się nienawisć wobec inaczej myślących, np. o tej katastrofie.

(...)

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębkowski**.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czemiawski, Małgorzata Dębkowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.